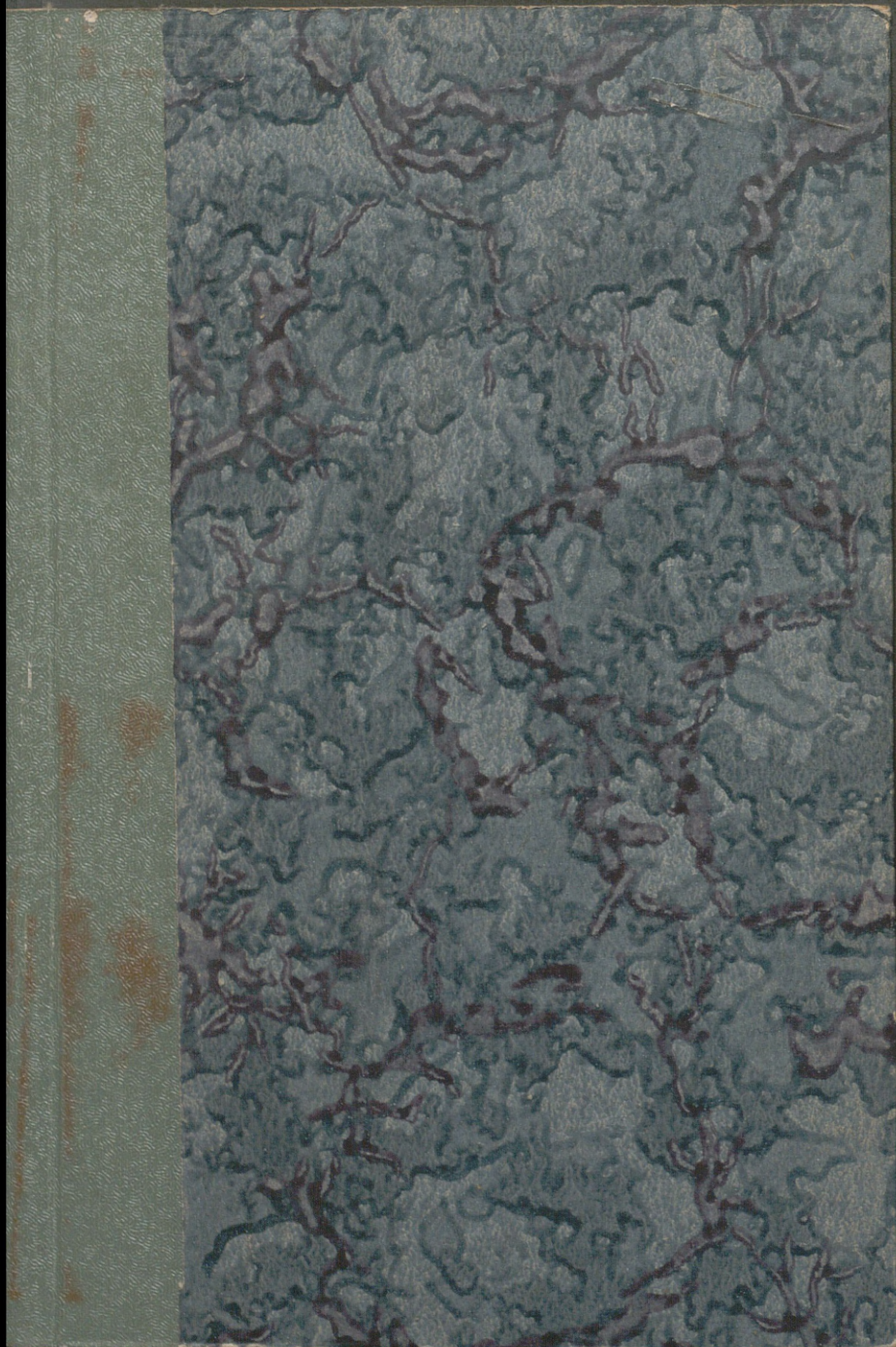


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

Magenta

White

3/Color

Black





O KSIĄŻCE

Prof. M. Bobrzyńskiego

DZIEJE POLSKI

W ZARYSIE

napisał słów kilka

45

X. Waleryan Kalinka C. R.



K. Immauski
15/III 1903.

W KRAKOWIE,

OZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“

pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

1879.

O KSIĄŻCE

Prof. M. Bobrzyńskiego

DZIEJE POLSKI

W ZARYSIE

napisał słow. Litka

X. Waleyan Kalka C. R.



W KRAKOWIE

Osobne odbicie z dziennika „CZAS.” — Nakładem Redakcyi.

1878

Kartki niniejsze były ogłoszone w Czasie. Ale, że dzieło p. Bobrzyńskiego ukazało się w Warszawie, a Czas w tamte strony nie dochodzi, więc zdawało się pożytecznem odbić je osobno. Może w tej postaci łatwiej przejdą przez granicę.

W kilka dni po ogłoszeniu naszej recenzji, Czas umieścić odpowiedź prof. Bobrzyńskiego. Zarzuca nam Szanowny Autor, żeśmy niektóre ustępy jego dzieła źle zrozumieli. Jeśli tak, tem lepiej. Dajemy jego odpowiedź w całości.

Konstytucja polska była ogłoszona w Czarach.
Ale to dzieło p. Federacji miało miejsce
w Warszawie, a Czar w tymże mieście nie
dochoł, więc zostało w rzeczywistości odliczone
je osobno. Może w tej kwestii istnieje jeszcze
przeciwieństwo.

W kilka dni po ogłoszeniu naszej konstytucji
Czary miały miejsce w Warszawie, w Federacji
strony. Konstytucja nam znana jest, a konstytucja
innych krajów jest dla nas nieznana.
Jest tak, że konstytucja polska jest ogłoszona
w Czarach.

I.

Mamy przed sobą książkę obejmującą obraz całej przeszłości naszej aż do pierwszego rozbioru, w niczem niepodobną do kompendyów historycznych, jakie dotąd posiadaliśmy, i z której czujemy obowiązek zdać obszerniejszą sprawę, o ile się to da, bez zbytniego unużenia czytelników dziennika.

W pięknej i jędrnej przemowie autor naznacza cel swojej pracy. Monografie pojedynczych epok, nad którymi dzisiejsi historycy pracują, zmieniły zupełnie pojmowanie polskiej przeszłości. Trzeba jeszcze czasu do wykończenia tych prac i zużytkowania materiałów, które z każdym dniem rosną, aby je złożyć w większą, poważną całość zbiorową. Zanim ta chwila przyjdzie, chciał on w krótkim zarysie podać syntezę tego, co nowsza przyniosła nauka. W książce podręcznej, nie mogło mu oczywiście chodzić o opowiedzenie wszystkich faktów; pragnął on głównie przedstawić zmieniające się w różnych epokach podstawy i warunki naszego politycznego rozwoju i upadku. —

Strzegł się nienaturalnego, jak mówi, rozszerzenia obrazu XVII i XVIII wieku; wolał zatrzymać się dłużej przy wieku XV i XVI, w których państwo polskie doszło do najwyższego szczytu swej potęgi. Boć jeśli historia ma być naszą mistrzynią, jeśli mamy czynić, jak czynili ojcowie nasi, uczmy się od nich, gdy byli w pełni swego życia, a skarłowaciałe dwóch ostatnich wieków pokolenia, niechaj nam raczej służą jako przykład odstraszający.

Przegląd i klasyfikacya literatury historycznej z ostatnich lat stu rozpoczyna dzieło. Słuszne autor uważa Naruszewicza za twórcę nowszej historyografii i za naczelnika tych wszystkich, którzy o dziejach polskich pisali aż do Lelewela. Nie wiemy tylko, dla czego bierze go za ucznia walterowskiej szkoły historycznej, kiedy on szczególnie na pisarzach łacińskich się kształcił. Nam się także zdaje, że różnica, jaka zachodzi między Naruszewiczem a jego następcami, nie wypłynęła tylko z przewagi jego zasobu naukowego i uzdolnienia, ale i z epoki, w której pracował, bo od tego wpływu żaden pisarz uwolnić się zupełnie nie potrafi. On pisał w chwili, kiedy państwo polskie jeszcze istniało, i jak zagrzewał, z jednej strony, wspomnieniami pełnemi chwały, tak umiał wykazywać wady narodowe i ich skutki dla kraju. W *Historji Chodkiewicza*, która do najlepszych jego prac należy, i która daje miarę, czemu by było jego dzieło, gdyby, jak zamierzał, do bliższych doprowadził je czasów, jasny tej da-

żności zostawił dowód. Przeciwnie, członkowie Towarzystwa warsz. przyjaciół nauk, rozdzieliwszy między siebie ukończenie jego historyi i pisząc pod świeżem wrażeniem ostatnich klęsk narodu, nie mieli już serca ukazywać złego, gdzie ono leżało—w przywarach naszych; chcieli raczej hymn pochwalny na cześć przeszłości wyśpiewać. *Et nos fuimus*, pisał z żalem Niemcewicz na swych dziełach historycznych. I my czemś byliśmy, i dziś gdy w upadku, krzemy się wspomnieniem przynajmniej!

Nową szkołę stworzył Lelewel. Nie dbając wcale o stronę obrazową, szedł do źródeł z pierwszej ręki, mnóstwo nowych wydobył, krytycznie je opracował, badał, roztrząsał, zstępował do najgłębszych zagadnień społecznego i politycznego bytu, ale więcej podał w wątpliwość niż rozwiązał. — Wszakże i Lelewel uległ wpływowi swego czasu. Wychowany pod wrażeniem rewolucyi francuskiej, z historyi zrobił katedrę demokracji. Wedle niego, polskie gminowładztwo, zepsute w epoce panowania arystokracji, rozwinęło się z całym blaskiem za czasów demokracji szlacheckiej; lecz że ta, ludu wiejskiego nie wprowadziła do swobody i republiki z całą ścisłością nie przeprowadziła, państwo upadło. Ztąd wniosek, że tylko przez lud i przez republikę droga do odrodzenia. — Wszystkich, aż do ostatnich dziesięciu lat, historyków naszych zalicza autor do szkoły lelewelowskiej, czyniąc pewne rozróżnienia wedle ich dążeń politycznej i religijnej. Czy wszakże, z takim na-

wet rozróżnieniem, klasyfikacya autora da się usprawiedliwić? Że Chodźkę, Moraczewskiego, Maciejowskiego, Jaroszewicza, Jarochońskiego, Schmitta do tej szkoły zaciągnął, to można zrozumieć. Ale czy Hofman, Mickiewicz, Sieńkiewicz, Dzieruszycki, Baliński, Walewski, nie byłiby bardzo zdziwieni, słysząc, że ich ktoś uczniami i naśladowcami Lelewela mianuje? W czym Szajnocha, którego autor dosyć nisko ceni i jego znowu uczniowie do lelewelowskiej szkoły podobni? Nam się ta klasyfikacya całkiem dowolną wydaje, krytyki nie wytrzyma. Bo to jeszcze nie wszyscy, zaraz do innych przejdziemy.

Bądź co bądź, z prac i doświadczeń dwóch szkół poprzednich, korzysta nowa. Znudziły wszystkich apoteozy przeszłości i historyzoficzne poglądy, układane wprzód zanim fakta poznano i należycie wyświecono. Wzięto się naprawdę do szukania i oczyszczania źródeł; z drugiej strony naród zahartował się w nieszczęściach i prawdę już zniesie; na obrazach zwycięstw, na malowniczych scenach życia dworskiego nie przestanie, ale domaga się głębszego zbadania wewnętrznego rozwoju. — „Społeczeństwo dzisiejsze jest już na to przygotowane, że tradycya przekazana nam przez ostatnie pokolenia, w której jeszcze poczęści tkwimy, jest tradycją powstałą w wiekach upadku; że umysł polski szersze niegdyś obejmował poglądy, że pierś nasza karmiła wznioślejsze dążenia od tych, w które nas zakuła ciemnota i krótkowidzenie XVII i XVIII stulecia.“

Na tych wymownych, tryskających życiem i prawdą słowach, kończy autor przegląd naszej historyografii. Gdyby z kolei ktoś z nas zapytał, do jakiej szkoły zaliczyć autora, bylibyśmy w pewnym kłopotcie, jak odpowiedzieć? Azali do nowej szkoły, o której mówi? Lecz jej cecha nie jest dostatecznie wskazana. Jeżeli znamieniem jej ma być rewindykacya praw rządu, któremi tak długo u nas na nieszczęście poniewierano, toby należało klasyfikacyą autora zupełnie przestawić, i oprócz umarłych, o których mówiliśmy, i niejednego z żyjących historyków od szkoły lelewelowskiej oddzielić. A naprzód Morawskiego, któremu jeśli można co zarzucić, to przedewszystkiem zbytnią obronę naszych monarchów, bo w nich prawie zawsze samo dobre widzi, lecz który, pomimo tej przesady, pomimo braku porządku i metody historycznej, godnym jest czytania dla swojej wytrawności i doświadczenia politycznego. Należałoby następnie do nowej szkoły przenieść Szujskiego, którego prace późniejsze całkiem są różne od lelewelowskich i z wielu powodów stawiają go na czele dzisiejszych historycznych pisarzy. — I nasz autor za ideą rządu walczy aż do namiętności; a jednak w poczet tych historyków nie śmielibyśmy go zapisać, bo spotykamy w nim pojęcia i dążności w pracach polskich dotąd niebywale, i których, jeżeli od razu myśl naszą mamy wypowiedzieć, nie bardzo w nich widzieć pragniemy. Raczej u obcych, u Niemców, szukalibyśmy dla niego wzora i mistrzów; z nimi łączy go pokrewieństwo myśli i metody historycznej.

Po uczonych, gruntownych, ale ciężkich, roz-
wlekłych i arcynudnych pisarzach, jakimi byli
w większej części dawniejsi historycy niemieccy,
zjawiała się w Niemczech, przed czterdziestoma
mniej więcej laty, nowa, zupełnie odmienna szko-
ła. Zaczął ją, jeżeli się nie mylimy, Ranke swem
głośnem dziełem *Historya Papieżów*, a jej dal-
szymi reprezentantami są Hatisser, Mommsen, Droy-
sen, Sybel i inni. Wszystko to ludzie wielkiej
nauki, wielkiego talentu, żelaznej pracy; od po-
przedników swoich wyżsi nie tylko przystępną lecz
elegancką formą, zwięzłością i jasnością wykładu,
wybornym porządkiem i streszczaniem w opowia-
daniu. Z gruntownością niemiecką połączyli wy-
kwintną frauczka oglądę. Ale przy tylu niepo-
spolitych i bardzo ujmujących zaletach, jeżeli zwa-
żymy na ich dążność moralną, na ich *criterium*
prawdy, mniej nas oni ujmować będą. Najwyż-
szym celem każdego państwa jest wedle nich siła,
a *criterium* każdego działania — powodzenie. Tyl-
ko to ma prawo do życia co ma siłę, i tylko to,
co się udało, zasługuje na pamięć i chwałę. *Vae*
victis. Każdy przeto naród powinien dążyć do naj-
silniejszego rządu, każdy rząd do największych
zaborów; jakimi środkami — mniejsza o to; nie
cel ale sukces usprawiedliwia środki. — Czy w tym
programie, który był zarazem programem polity-
cznym, zapowiedzią tego co się w Prusiech zisci-
ło, jest miejsce na jakieś moralne interesa? Jest
bez wątpienia, o ile się zgradzają z interesem
państwa, o ile jego sprężystość i produktyjność

wspierają; jeżeli zaś nie, to powinny być pominięte, a przynajmniej tak ścieśnione, żeby szkodzić nie mogły. Kościół i szkoła, armia i finanse, sądownictwo i żandarmerya, to są tylko pojedyncze kółka, które swoim obrotem pomagać mają wielkiemu kołu maszyny państwowej. A czy tam jest miejsce dla Boga i jakaś wiara w Niego? O to mniejsza! Wszak jeszcze stary, mieszczkański Schlosser powiadał, podobnie jak tyłu filozofów niemieckich, że Bóg wtedy istnieje, gdy się o nim myśli; u następców Schlossera, dzisiejszych mistrzów pruskich, jeśli Bóg nawinie się niekiedy pod piórem, to chyba jako forma stylistyczna, z dawnej niedogasłej tradycyi.

Nie zrobimy tej krzywdy autorowi, byśmy go za skończonego adepta pruskich mistrzów poczytali. Nie; zanadto w nim podniosłości i szlachetności uczucia, zanadto miłości dla Polski, zanadto wreszcie — antypaty do Niemców. Ale jednak, i w dobrych i ujemnych stronach jego książki, uderza podobieństwo z tą szkołą. Forma staranna, porządek w opowiadaniu wzorowy, język czysty, ścisły, dosadny; styl zwięzły i choć nieobrazowy, zawsze ożywiony. W całej książce spotkaliśmy zaledwo dwa lub trzy okresy zagmatwane i niejasne; takiej poprawności nie znajdzie u wielu dzisiejszych pisarzy. Umysł badawczy, krytyczny, na prawniczych studiach zaprawny, a jednak wolny od ciasnoty dawnych, palestranckich prawników; owszem przeważnie polityczny, — chociaż znać, że bardziej w teoryą — niż w doświadczenie boga-

ty. Jego poglądy polityczne, jeżeli ich nie uprzedza myśl z góry powzięta, bywają tak przekonywające i z taką siłą wypowiedziane, że chciałoby się żywcem przyswoić je sobie. Ale przytem, podobnie jak u pruskich hist ryków, brak wyższego, moralnego *criterium*: wszystko dobre co sukces zapewnia, wszystko pożądane co siłę państwa podnosi. Zachwyca go Richelieu, że u siebie broniąc Kościoła, w Niemczech wspomagał protestantyzm; wyrzuca Zygmunto wi III, że go w tem nie naśladował (s. 330). Czy sprawa Dymitra była sprawiedliwa lub nie, o to nie pyta; w tem zła, że naród moskiewski rozjątrzyła na Polaków. Niemocą polskiego rządu słusznie zboląły, obwinia Zygmunta Augusta, że nie poparł ruchu protestanckiego, aby wzmocnić swoją władzę; wreszcie, jeżeli August nie miał dość rozumu i energii, aby z Rzymem zerwać, kościół narodowy t. j. schyzmatyczny ustanowić i ogł się się jego naczelnikiem, niechby był od biedy przechylił się i na stronę katolicyzmu, byle go użyć dla odbudowania prawdziwej monarchii (s. 279). Takiego indyferentyzmu religijnego i moralnego wiele w tej książce znajdziemy dowodów; niektóre podniesiemy jeszcze. Nateraz, to cośmy powiedzieli, niechaj wystarczy dla nacechowania dzieła autora, które jedną tylko religią wyznaje, religią państwa, jednej zasady trzyma się w polityce, siły i zwycięstwa, i które, pomimo nienawiści do Prus, jeden głosi kult — kult bismarkowski.

II.

Na początku swojej pracy zamieszcza autor traktacik prawno-polityczny. Jest to niby ostatnie słowo umiejętności politycznej, mające dopomóc czytelnikom polskim, dość jeszcze w tym przedmiocie zacofanym, do zrozumienia przemian wewnętrznych, dziejowych. My jednak pozwolimy sobie wyrazić wątpliwość o potrzebie owego traktatu. Naprzód, brak w nim tej jasności i ścisłości, która autora odznacza zaszczytnie; rzekłbyś, że to tłumaczone z niemieckiego; są tam ustępy, które trudno zrozumieć (np. s. 33, w 11 et. seqq.). Powtóre, jak ten traktat zastosować? Ależ do tej miary nie nadaje się jeszcze większość państw dzisiejszych, cóż mówić o dawnych? Nakoniec, i to najważniejsza, autor ogłasza za dogmat niewątpliwy teorye, które zaledwo na katedrach lub w biurach niemieckich mogą popłacać, lecz nieraz wzruszyłyby na nie ramionami Francuz, a zwłaszcza Anglik, Amerykanin i t. d. I tak utrzymuje, że każdy mieszkaniec obowiązany jest służyć wojskowo (s. 36; szczęściem, że nie dodaje, iż

każdy powinien oddawać swe dzieci do szkoły rządowej!). Ta teoria, chociaż w Prusiech naprzd się wylęła, dopiero we Włoszech, a teraz i w Austrii zaczyna być z całą wykonywana ścisłością; inne państwa przypuszczają dotychczas upoważnione różnemi powołaniami wyjątki. — Dalej, że powinnością jest obywatela wyrobić sobie zdrowe przekonanie, jak państwo ma być rządzone. Ależ, Szanowny Autorze, w takim razie, dziewiętdziesięciu dziewięciu obywateli na sto, do końca świata, obowiązku swego nie spełni! I to jest wielkie szczęście, bo inaczej wszyscy obywatele musieliby bez ustanku dyskutować na *forum* (jak Rousseau tego żąda) i niktby nie miał czasu ani możności rządzenia; bo gdzież są ludzie, których przez dyskusyą polityczną można przywieść do posłuszeństwa, a bez tego rządu niema. — Dalej, że obywatel, wyrobiwszy w sobie zasady polityczne, powinien się łączyć z tymi, co je podzielają i szykować się w polityczne stronnictwo. Gdzież i kiedy tworzyły się w ten sposób polityczne stronnictwa? W Anglii, gdzie one są zorganizowane najlepiej i najskuteczniej służą państwu, może ledwo kilkudziesiąt lub kilkuset znalazłoby się ludzi, którzy mają własnym namysłem i doświadczeniem wyrobione zasady; reszta, ta wielka reszta, idzie za tym, którego z dziada i pradziada widzi na swoim czele, któremu ufa, i z którym ją wiążą interesa. Nawet ludzie polityczni zazwyczaj nie przychodzą tam sami z siebie do zasad, lecz je odziedziczają po przodkach: syn Torysa jest To-

rysem, syn Whiga jest Whigiem; i dobrze im z tem i państwu, i nie troszczą się wcale co na to powiedzą niemieccy uczeni.

Jako najwyższy wzór, stawia autor państwo nowożytne, czyli jak je Niemcy zowią prawne (dla czego ono tylko ma być prawne?), które obok obrony zewnętrznej i wewnętrznego porządku, kładzie główny nacisk na wspieranie pracy społecznej, za pomocą sprężystej administracyi. Któż nie widzi, że to jest państwo francuzkie, jak je rewolucya wykształciła lub państwo pruskie, jak je Bismark wydoskonala? Gdybyśmy ten rodzaj państwa nazwali jak ono właściwie zwać się powinno: biókratycznym lub zcentralizowanym, tobyśmy od razu zrozumieli niebezpieczeństwa, któremi ono społeczeństwu zagraża. — Rząd, który bezwzględnie będzie chciał wspierać a w następstwie i rozwijać pracę społeczną, łatwo zgwałci prawa jednostek, zaniepokoi sumienia, opanuje szkołę i wyznania, wszędzie da uczuć swą rękę cisnącą. Główną siłą takiego rządu jest biókracya, ale siła to zawodna: wierna rządowi dopóki mu się powodzi, odwraca się od niego wnet, skoro się zjawi ktoś mocniejszy. I nie dziwnego, bo urzędnik w takim państwie, ma zwyczaj dwa sumienia: jedno własne, dla swego kółka domowego, drugie oficjalne, które od ministra zależy, a to ostatnie silniejsze. W zastosowaniu do zagranicy, ten system rządu dobry jest do napaści sąsiada; w wojnie odpornej, po przegranej, jest zawsze najslabszy; zdobycie stolicy rozstrzyga o wszystkim. W zarządzie wewnętr-



nym, wprowadzając wszędzie biórokracyą, wywołuje między klasami zawiści; i jak wielu utrzymuje, on jest ojcem socjalizmu, i do pewnego stopnia ten zarzut jest słusznym. I Bourke i Leo, którym przecie wiadomości politycznych odmówić niemożna, nazwali takie państwo nie prawem ale mechanicznem, bo w niem wszystko jak w zegarku, z bióra ministeryalnego się nakręca; a Stahl, długo najwyższa w tej nauce powaga, o tyle tylko na taki system się zgadza, o ile wyższe posady w administracyi i wojsku, poruczone są przeważnie klasie, swojem stanowiskiem socyalnem w kraju górującej. Według niego państwo musi się opierać na Bogu i na wierze objawionej, bo bez tego nigdy władza nie zapuści korzeni w sercach poddanych. Prawda, że to mówi Stahl a nie Mohl, nie Buntschli...

W przeciwieństwie do nowożytnego, państwo, które pozostawia pracę społeczną samemu społeczeństwu podzielonemu na stany, jest jeszcze, wedle autora, średniowiecznem. Jeżeli tak, to pozazdrościć tylko można Anglii i Ameryce północnej, że dotąd ze średnich wieków nie wyszły. Ostateczność i w jednym i w drugim kierunku, niedobra: źle jest kiedy państwo wszystko zostawiło społeczeństwu, stokroć gorzej, kiedy samo do wszystkiego się mięsza.

Zdaje nam się, że książka nie straci, jeżeli autor w drugim wydaniu, usunie z niej ten traktacik niedość przemyślany, chociaż nie przeczymy, że uważnego czytelnika ostrzeżę on odrazu o sposobieniu autora.

III.

Odrzucając różne podziały, których trzymano się w dotychczasowych kompendyach, p. Bobrzyński wprowadza nowy, na trzy okresy, odpowiednio do systemów rządowych, jakie istniały. Pierwszą epokę zaznaczają rządy patryarchalne: monarcha sprawuje władzę zupełną nad ludami, których jest ojcem, nie tylko pod świeckim lecz i kościelnym względem. Ten okres ma trwać aż do napadów mongolskich.—Straszliwe skutkiem tych najazdów spustoszenie kraju i potężna kolonizacya niemiecka, zmieniły naturę społeczeństwa, a tem samem i rządu; już to nie są jednoplemieńcy jak dawniej ale dwa odrębne żywioły, między którymi monarcha musi zgody pilnować, ograniczając się zresztą do strzeżenia państwa od postronnych nieprzyjaciół. Duchowieństwo dobija się społecznie stanowiska niepodległego i stanowi osobny żywioł trzeci. To wiek XIV i XV, epoka rządów patrymonialnych.— Pod koniec XV wieku udaje się Kazimierzowi Jag. złamać przywileje średniowieczne, skutkiem czego dwaj jego następcy tworzą pań-

stwo nowożytne czyli prawne, którego jednak nie pozwalają wykończyć anarchiczne żywioły i sprowadzają najstraszliwszy upadek.—Takim jest ogólne pojęcie przeszłości naszej u autora; musimy wyznać, że ono nam niejedną nasuwa wątpliwość. Czy rządy patryarchalne nie kończą się raczej w w. XII, to jest ze śmiercią Krzywoustego? Czy napady mongolskie, które zniszczyły Małopolskę, i w dziejach Wielkopolski tyleż znaczyły? Czy Łokietek, który u autora nową epokę zaczyna, nie podobniejszy do Bolesławów niż do Jagiellonów? Czy duchowieństwo dopiero od napałów mongolskich zyskało stanowisko niepodległe? A cóż powiedzieć o tym szeregu znakomitych biskupów krakowskich, którzy za podziałów znaczącą odegrali rolę? Wszakże już Roeppel przyznał, że męczeństwo Ś. Stanisława zjednało Kościołowi w Polsce stanowisko polityczne. — Przechodząc do drugiego okresu, zapytamy autora, jakie to są przywileje średnio-wieczne, które złamał Kazimierz Jagiellończyk? Prócz wydarcia kapitułom prawa obioru biskupów, podobno innego złamania nie znajdzie. Fakt to był ważny, wpłynął niezmiernie a bardzo szkodliwie na Kościół i na społeczeństwo, ale epoki politycznej sam jeszcze nie stanowi.— Dość dziwnie się zdarza, że owe państwo nowożytne trzeciego okresu, wprowadziło do Polski rządy parlamentarne, w chwili kiedy na zachodzie ustalały się wszędzie rządy absolutne, że owe państwo prawne nastąpiło w Polsce równo z anarchią sejmów wszechwładnych, z po-

gnębieniem włościan a wkrótce potem i mieszczan! Czy niemożnaby przeto powiedzieć o autorze, że stworzył formułkę teoretyczną, w którą gwałtem wtlacza fakta i daty, bez względu, że ona więcej zdaje się odpowiadać nowszej nauce prawno-politycznej niż rzeczywistości?..

Ale nie będziemy się o to spierali. W życiu narodów jak ludzi, nigdy epoki nie są tak odrąbane, aby jakaś cecha jednej nie zachodziła w drugą. Wszak dotąd historycy, nawet chrześcijańscy, nie zgodzili się, gdzie naznaczyć kres starożytnemu, gdzie początek nowożytnemu światu? W każdym systemie podziałowym coś niewłaściwego upatrzeć można. Wolimy iść dalej. Ozdobą książki autora, z pierwszego okresu, są dzieje księstw rozdzielonych, opowiedziane tak jasno i zwięźle, że ta epoka zagmatwana nader zrozumiale przedstawia się u niego; niemniej trafny i piękny jest opis kolonizacyi niemieckiej i zmian, jakie ona w kraju sprowadziła. Atoli najpiękniejszą część książki stanowi okres drugi. Mądre gospodarstwo Kazimierza W., stosunek Krzyżaków z Polską i ich wzajemne zapasy, stanowisko i działanie możnowładztwa, sprawa husycka w Polsce, skreślone są po mistrzowsku, i budzą pragnienie, aby autor znalazł kiedyś czas do szczegółowego obrobienia tej epoki, z którą tak gruntownie jest już obznajomiony.—Zupełnie nowym, a przynajmniej własnym autora, jest obraz przełomu, jaki w organizacyi politycznej państwa zaczął się od Kazimierza Jag., a dokonał za Olbrachta i Alexandra. Usunięcie

wplywu arystokracji i zastąpienie jej przez szlachtę i sejmy, miało być najszcześniejszą dla państwa przemianą, i tylko nieudolności dwóch Zygmunatów przypisać trzeba, że inaczej się stało. — Powtarzamy, pogląd nowy, o ile sprawiedliwy, o to długi spór stoczyłoby należało, na który nie miejsce w pobieżnej recenzji. Choć z autorem rozprawa o ten wiek niełatwa, bo on go specjalnie studyował, jednak może inną razą pokusimy się przedstawić, jak nam się te czasy wydają. Wedle nas, sam Długosz wystarczy, aby dowieść wyższości systemu rządowego w wieku XV, nad tym, który w pierwszych latach XVI stulecia wprowadzono. Tu tylko powiemy, że niekoniecznie wydaje nam się mądrą ze strony monarchy polityką, przyznawać Izbie szlacheckiej tak wielką władzę, a nie mieć ani zorganizowanego Senatu, ani Izby miejskiej, aby w potrzebie na nich się oprzeć.

Władza królewska, która jednej klasie dozwoliła zgnieść wszystkie inne, powinna była przewidzieć, że sama przez nią będzie wkrótce zgniecioną. Tego Alexander nie rozumiał ale to widział jasno Zygmunt stary i dla tego senatorów chciał przywrócić do znaczenia i mieszczanstwo usilnie dźwigał. Nie jego wina, że dawnej z XV wieku arystokracji, za jego czasów już zabrakło. Moźnowładztwo XV wieku ulegało wpływowi ówczesnych znakomitych biskupów. Tego wpływu nie mogli już mieć biskupi, których od Kazimierza Jag. dostarczały krajowi nominacye królew-

skie. Nigdy episkopat polski, pomimo kilku politycznych talentów, nie stał tak nisko jak w owej epoce; chyba koniec XVIII wieku możnaby do niej porównać. I to także nie było winą Zygmunta, że z bogaceni mieszczenie, zamiast bronić interesów swej klasy, woleli wchodzić między pany i szlachtę. Autor bezwzględnie potępia Zygmunta Igo. Nam to potępienie o tyle tylko wydaje się sprawiedliwe, o ile dotyka uległości jego dla Bony, a także o ile się onosi do jego polityki zagranicznej. Tu w istocie trudno go wytłómaczyć. Opuścił Czechy i Węgry aby przeciw Moskwie mieć wolne ręce, Moskwę zaniedbał aby z Krzyżakami zakończyć, i skończył z nimi najsmutniej, dla Polski najszkodliwiej.

IV.

Czasy Zygmunta Augusta wprowadzają autora w bliższe zetknięcie ze sprawą religijną i dają mu sposobność do wyłożenia swego poglądu, który niemile musi uderzyć czytelnika. Jestto najprzykrzejsza strona książki. Nie spada to jednak niespodzianie. W wielu poprzednich rozdziałach znajdują się ustępy lub wyrażenia, które dowodzą, że autor nie rozumie natury Kościoła katolickiego, że mu nie przyznaje żadnej misji nadprzyrodzonej, że w ogólności, wszelki Kościół jest wedle niego instytucją polityczną, o tyle dobrą, o ile służy państwu i przyczynia się do wzmocnienia siły rządowej. Ztąd przez dziwne przeoczenie i niezrozumienie tak dobrze celu jak wpływu Kościoła, wyradza się w nim jakaś szczególna predylekcyja do schyzmy wschodniej. Nie mówimy tych słów na wiatr; owszem mówimy je z boleścią, tem większą im głębszy mamy szacunek dla autora, dla jego zdolności, nauki i zasług; im mocniej jesteśmy przekonani, że człowiek, którego Bóg tak wysoko obdarzył ma powinność użyć

swoich sił dla dobra narodu nie na jego szkodę. Musimy więc wskazać ważniejsze ustępy, które obrazają tak dobrze uczucie katolickie jak prawdę historyczną.

Opowiadając początkowe dzieje Słowiańszczyzny wschodniej i południowej, twierdzi p. Bobrzyński, że do wzmocnienia Rusi i Bułgarii przyczyniła się najwięcej ta okoliczność, że dostały się pod wpływ Kościoła bizantyńskiego. — „Kościół wschodni, służący państwu i stanowiący instytucją polityczną, dawał władzy najsilniejszą podporę“, tem samem ukrzepiał państwo (s. 48). Mówi dalej, że ze Słowian południowych, najlepiej stosunkowo wyszli Serbowie, którzy poddali się greckiemu wpływowi: zachowali bowiem narodowość i samoistność i w w. XIII silne na modłę bizantyńską utworzyli państwo, kiedy przeciwnie Krowaci, którzy katolicką przyjęli wiarę, ulegli gniotącym ich cesarzom niemieckim. Postawione w świetle historii, twierdzenia te okażą się bezzasadne. Ile przyniósł życia wpływ Kościoła greckiego na Rusi, tego dowiódł najazd mongolski, który w jednej bitwie skruszył to obszerne państwo ruskie; kiedy przeciwnie Polska katolicka, o wiele szczuplejsza, choć niemało przegrała bitew i niemniej szemu jak Ruś uległa od Mongołów spustoszeniu, za każdym najazdem rwała się na nowo do obrony, nie zhańbiła się jak Ruś pomocą dawaną Mongołom, nie sprzeniewierzyła się Chrześcijaństwu, walczyła do ostatka, na ostatniej krawędzi swej ziemi, a potem, gdy burza przeszła, dźwi-

gnęła się silniejszą niż była poprzednio. Wszak autor sam przyznaje, że po tej strasznej inwazyi, biskupi łacińscy przyczynili się bardzo znacznie do odrodzenia państwa; nie podobnego nie mówi historyja o biskupach wschodnich na Rusi. Nie ten jest zdrowy organizm, który nigdy wstrząśniętym być nie może, bo takich n'ema, ale ten, który po wstrząśnieniu prędko do sił i równowagi powraca. Również i przykład Bulgaryi i Serbii najniezszczęśliwiej przez autora został wybrany. Wszystkie ludy słowiańskie, które przyjęły schyzmę, dostały się pod jarzmo tureckie i przez pięć wieków pod niem jęczały; tylko tam, gdzie był Kościół katolicki, tam tylko panowanie półksiężycy ustalić się nie mogło. Jeśli kto, to Słowianie mają prawo o Kościele wschodnim powiedzieć: *mentita est iniquitas sibi*; zamiast potęgi niepodległego państwa, przyniosła ona ucisk najsroźszej, azyatyckiej niewoli. Boć i Moskwa, jeźli przyszła później do znacznej potęgi, to wiadomo, że nie inaczej i nie pierwej, aż przez długie wieki niewoli, wyuczyła się od Mongołów, ich sztuki rządzenia.

Z tą niepojętą za Kościołem wschodnim tęsknotą, łączą się oczywiście u autora głębokie żale do łacińskiego Kościoła. „Kościół rzymski, mówi on, nie potrzebując do obrzędów polskiego języka, nie stworzywszy mu alfabetu i pisma, nie zużytkował tych czynników i pierwiastków literatury, jakie znalazł w pogańskim narodzie; nie tylko ich nie rozwinał, ale owszem, ile zdołał, stłumił (s. 100)“. Więc to źle, że Kościół dał nam

alfabet łaciński, że nas prz z to zjednoczył z zachodem! Więc to złe, żeśmy nie mieli kirylicy albo graždanki, jak Ruś i Moskwa, któraby nas na długie wieki od prawdziwej odłączyła cywilizacyi! Żaden Polak oględny takich żalów nie powtórzy. Jak łacina dzieli Europę od Azji i gdzie znajomość łaciny się kończy, tam kończą się też granice prawdziwej Europy, tak różnica alfabetów popchnęła narody, które je przyjęły, różnym kierunkiem dziejów i cywilizacyi. „Na dnie przeciwności, które Polskę od Rosyi oddziela, leży alfabet łaciński“, mawiał głęboko widzący, znany rusyfikator, kn'aż Czerkaski; i on też wpadł na myśl, aby polskie elementarze dla ludu, rosyjskim drukować alfabetem. Snać chciał on wynagrodzić krzywdę wyrządzoną nam od Kości'ola łacińskiego! A oweż skargi na Kościół, oddawna przebrzmiały, że nie zużytkował pierwiastków pogańskiej w Polsce literatury? Jakich — alboż wiemy czy istniała? wszak Kościół łaciński nie stanął Czechom na przeszkodzie, że mają Sąd Lubuszy i Królodworski rękopism; dla czegoż u nas tylko miałby je niszczyć? — „Nauka zaszczipiona w duchowieństwie polskiem (mówi p. Bobrzyński) była też tylko odbłaskiem łacińskiej, zachodniej“. A gdzież było szukać innej, czy w Grecyi lub w Arabii? Daleka droga; zresztą, cóżbyśmy na tej odmianie zyskali?

Zatem, rzecz jasna, że im więcej Kościół swoim wpływem podnosił i uszlachetniał pierwotne duchowieństwo polskie, które od obyczajów i gnu-

sności na wół dzikiego ludu długo odstąpić nie chciało, tem mniej się ono autorowi podoba. — „Dawne duchowieństwo polskie, żonate, oglądające się na swoje rodziny, a tem samym ze społeczeństwem świeckiem najściślej związane, bratające się z niem w życiu codziennem, rubaszne jak ogół rycerstwa ówczesnego i włóścian, wymierało i znikało; a na jego miejsce wstępowało nowe, bezżenne, oddane wyłącznie celom Kościoła, przejmujące się duchem swego odrębnego powołania, oglądające się na Rzym i na zachód, czerpiące z tamtąd nietylko inteligencyą ale i nowy obyczaj, wznoszące się dumnie ponad społeczeństwo świeckie (s. 135)“. Nie przypuszczamy bynajmniej, aby i w tych słowach był wyraz owej tęsknoty za duchowieństwem schyzmatykiem, które dziś jeszcze dość jest podobne do obrazu księży polskich, jakich autor w XII w. przedstawia; mniemamy tylko, że to jest skutek czci autora — jednostronnej i nierozważnej — dla wszechwładztwa państwowego. — Na to wszechwładztwo Kościół katolicki nigdy nie przystanie, bo ono jest na wskrós pogańskie lub azyatyckie, bo z niem nie zgodzi się nigdy prawdziwa cywilizacya ani godność ludzka. Bez tego bałwechwalstwa dla siły rządowej, które autora opanowało, i które mu każe zapominać o innych, jeszcze ważniejszych warunkach społecznego rozwoju, jak zrozumieć taki np. frazes: „Kościół katolicki, który dotąd w Polsce (to jest aż do końca XIII wieku!) instytucyę polityczną stanowił i od króla bez-

względnie zależał, teraz wzniósł się ponad książąt i, zamiast od nich odbierać prawa, swoje im prawo kanoniczne narzucił". Albo dalej, że „kapituły, w myśl praw kanonicznych, uzurpowały sobie prawo wyboru biskupów“; albo znowu, że odtąd „duchowni nie ubiegali się już o łaskę książęcą, wiedząc, że tylko w obrębie Kościoła, strzegąc jego interesów, mogą sobie wyższe stanowisko i godność zdobyć“ (s. 134 i 135). Jakto więc Kościół jest ziemskiego ustanowienia, od monarchów nie od Boga przyjmować ma swe prawo; więc biskupi są urzędnikami panującego, i nie od Ducha Ś. ale od niego moc swoją biorą; więc to źle jest, kiedy duchowni, zamiast ubiegać się o łaski książęce, pilnują celów Kościoła? Prawdziwie wierzyć się nie chce, że takie rzeczy po polsku są pisane, kiedy się je tyle razy czytało w rosyjskich ukazach; wierzyć się nie chce, że to pisze człowiek, który kocha Polskę, który przecież badał jej dzieje, choć z uprzedzeniem i niekiedy powierzchownie, i który potępiając słusznie tradycje XVII i XVIII stulecia, każe nam się cofnąć do wielkich tradycji XV wieku, Jadwigi, Warneńczyka i Zbigniewa Oleśnickiego!

Na szczęście, sam autor sobie samemu dość często zaprzecza. Pomimo uprzedzeń, tyle w nim jest miłości prawdy i zmysłu badawczego, iż same fakta wymuszają na nim wyznanie, że jednak dobrze się stało, iż Kościół w Polsce wy dobył się z tych pieluch niemowlęcych, w jakich żył, gdy

go pierwsi wprowadzali monarchowie. Tak, gdy wspomina o legatach Grzegorza VII, którzy podnosili wykształcenie i moralność księży i budzili w nich religijną gorliwość (s. 101); tak, gdy opowiada o biskupach XIII wieku świecących swą nauką i o ludziach czynu wśród wyższego duchowchowieństwa, którzy ogólnemu rozstrojowi moralnemu i politycznemu, po najazdach mongolskich „śmiało spojrzeli w oczy i wszystkie swoje siły poświęcili wielkiemu zadaniu odrodzenia narodu“ (s. 125); tak, gdy wykazuje zbawienny wpływ na Polaków, potężnej organizacyi katolickiej, bo „tylko silne rządy Kościoła katolickiego mogły stać się dla tego słowiańskiego a więc słabego i niesfornego narodu, szkołą politycznego życia (str. 204).“ Jak to pogodzić z tem, co autor poprzednio powiedział o szkodliwości Kościoła katolickiego dla państwa? Nie pytajmy o to. Raczej dziękujmy za te poezyjne wyznania, za tę szczęśliwą autora niekonskwencyą; dziękujmy i za to oburzenie jego na biskupów polskich XVI wieku, którzy nie przestali być możnowładcami i „głównych swych laurów szukali na politycznej arenie (s. 317)“ a nie na kościelnej. W XIII wieku, jak widzieliśmy, autor brał im to właśnie za złe, że sługami byli Kościoła.

V.

Jedną z głównych win Zygmunta Augusta, wedle autora, było, że nie stworzył Kościoła narodowego czyli innemi słowy schyzmatycznego, któregoby głową był król a nie Papież, i że w ten sposób nie wzmocnił rządu w Polsce. Nie nowy to zarzut. W pierwszych latach dzisiejszego stulecia, Towarzystwo warszawskie P. N. postawiło pytanie: „Jaki był wpływ Reformacyi w Polsce?“. Podjął się odpowiedzi Ignacy Potocki, i dowodził, że jej wpływ był arcyzbawienny, gdyż jej owocem była sekularyzacya Prus książęcych, utworzenie hierarchii protestanckiej zależnej od rządu, zmniejszenie powagi biskupów; żałował tylko, że nie zniesiono celibatu księży i że wprowadzono uchwały Soboru trydenckiego. Chociaż Potocki nie zaszedł tak daleko w swoich wnioskach jak nasz autor, i chociaż Towarzystwo nie składało się bezwątpienia z „ultramontanów“, jednak rozprawa jego wydawała się zbyt gorsząca, postanowiono jej nie ogłaszać. Snać i Potocki nie był przekonany o prawdzie swoich twierdzeń, bo

na czele i na końcu swojej pracy położył godło: *Si quid hic dictum scriptumve contra veritatem, indictum, inscriptumve esto*“. Żalować przychodzi, że tego godła autor nie użył.

Rozpatrzmy się przy świetle historii, w tym po-myśle autora. Z kogo miał składać się Kościół rządowy? Oczywiście, żaden biskup uczciwy, żaden kapłan wierzący, żaden człowiek z przekonaniem i charakterem byłby niechęcia o nim sły-szyć. Weszliby doń sami odstępcy, wywłoki kla-sztorne, księża, którym się żon zachciało, którym się praca około dusz i posłuszeństwo biskupom sprzykrzyły; prawda, że nie mała była ich licz-ba, ale nie oni pewno tworzyliby siłę moralną owego Kościoła. Za patronów miałby on takiego Leszczyńskiego, którego autor stawia wysoko, a który w kościele, podczas podniesienia N. Sakra-mentu, w obecności Króla, śmiał czapkę włożyć na głowę; takiego Oleśnickiego, który proboszczów ze swoich dóbr rozganiał a włościan do zborzy-szcza protestanckiego pędzić kazał — i mnóstwo im podobnych między panami i szlachtą warcho-lów, których już żaden wzgląd uczciwości i przy-zwoitości nie krępował. Między nimi, jak mówi Górnicki „bracia siostry, synowie swe stryjeczne i inne powinne pojmosfera poczęli; poczęli się znaj-dować i tacy, którzy po dwie żony mieli i z cudze-mi żonami brali śluby i mieszkali“. Im dziksza nowość, tem prędzej do niej lgnęli. Byli tacy, co zaprzeczali bóstwa Chrystusowi, co zalecali o-brzezanie, co się nawracali na żydowską i mu-

zułmańską wiarę, choć jeszcze za Dunaj uciekać musieli; inni głosili dwużeństwo; ex-jenerał kapucyński pisał dyalogi o wielożeństwie; inni w moc swych przekonań religijnych usuwali się od obowiązków obywatelskich, zwłaszcza od służby wojskowej. I z takiej to zgnilizny, z takiego pomieszania głów i języków, z takiego wyuzdania i szalenstwa, miano zlepić Kościół nowy? Powie autor, że wszystkoby to ustało, gdyby Sejm ogłosił nowe wyznanie a Król je zatwierdził. — Przypuszczając, że tak łatwo przyszłoby do zgody, w co trudno uwierzyć, któżby przeszkodził następnemu Sejmowi odmienić swe dogmata jak odmieniał swe ustawy? Aryanie co rok przerabiali swoją wiarę, Kościół narodowy zapewne co dwa lata, po każdym sejmie, czyniłby nowe jej wyznanie. A jak zmusić szlachtę, aby wierzyła w to co Sejm każe? Czyż każdy niebyłby raczej powiedział sobie: skoro Król mógł odstąpić od zaprzysiężonej przy koronacyi wiary, toć i ja mam prawo wybrać tę, jaka mi się podoba! Liczono wówczas 32 wyznań chrześciańskich w samym Krakowie, na Litwie było ich 72; gdyby pomysł autora był się urzeczywistnił, mielibyśmy podobno tyle różnych wiar, ile powiatów, jeżeli nie tyle, co dworków szlacheckich. — A co na to wszystko byłby powiedział lud, który w Koronie i w znacznej części Litwy, pozostał szczerze katolicki; czy on nie byłby się trzymał uparcie ucziwych proboszczów, boć i tacy byliby się znaleźli? A co by się działo na Rusi, gdzie miliony schyzmaty-

ków Ignęły do Moskwy? I toż to miało posłużyć do jedności religijnej i do wzmocnienia państwa, Doprawdy, trudno to zrozumieć. — Z upadkiem wiary, nie przybyło szlachcie karności politycznej? owszem przybyło jej tylko zuchwalstwa. „Różnowiercy, mówi Łukaszewicz (wszak to nie ultramontanin) umieli rozprawiać, sprzeczać się, buntować; w tem tylko byli mistrzami“. Takież to elementa podnieść miały powagę króla i rządu! Króla przeniewiercę, któżby u nas szanował? — Powie autor: udało się to w Niemczech i w Anglii, możeby i u nas było się udało... Alboż my mamy ducha posłuszeństwa Niemców, uczucie hierarchiczne i zimną krew Anglików? U nas wszystko stoi na sumieniu; gdy to nadwątlisz, niema u nas ani ludzkiego pana, ani dobrego ojca i męża, ani gorliwego obywatela, ani nawet — rozsądnego człowieka. U nas więcej niż gdziekolwiek potrzeba dobrej wiary, i więcej niż gdziekolwiek musiałby zaszkodzić, moralnie i politycznie, gorszący przykład jej złamania. Głównem, jeżeli nie jedynem związaniem, które trzymało razem różnorodne żywioły państwa polskiego, był Kościół katolicki, jak dziś on jeden ratuje polską narodowość. Czyż autor na prawdę wierzy, że mógł go zastąpić jakiś bałwan religijny ludzkiego wymysłu? I czy ten bałwan, wywracając się bardzo prędko, bo to było niuniknionem, nie byłby rozbił państwa na drobne okruchy? Jedne z nich odpadłyby do Moskwy, drugie do księcia pruskiego a trzecie do rakuskiego domu, i to nie zaborem, jak to się

stało we dwa wieki później, ale własnym, wewnętrznym wybuchem anarchicznego fermentu.

Lecz to jest jedna dopiero strona tego kościoła narodowego (wprawdzie dla autora jedyna), utylitarna, polityczna; ale jest druga jeszcze strona: kwestya godności, zacności. Czy autor życzyłby albo doradzał komu, aby zmienił swą religią, bez przekonania? Zdaje się że nie. A jednak takie życzenie stawia on dla całego narodu w przeszłości. Jeżeli świat ma pogardę i słuszną dla człowieka, który porzuca religią, z pobudek ziemskich, materyalnych, czyż naród, który wbrew swemu sumieniu, przerzuca się na inną wiarę, nie jest godzien pogardy? Nie zasłonią go przed nią korzyści polityczne (widzieliśmy że ich nie było); zawsze to interes ziemski, doczesny, zawsze to handel sumieniem, spodlenie ducha. W r. 1833 cesarz Mikołaj, wezwawszy do Petersburga wszystkich biskupów Królestwa, kazał im powiedzieć, że jeżeli oderwą się od Rzymu i ogłoszą się Kościołem niepodległym, narodowym, on zostawi Królestwu takie same mniej więcej instytucye, jakie miało przed nieszczęsnem powstaniem. Było to w epoce największej prostracyi, jaka u nas kiedykolwiek w nowszych czasach panowała; było w chwili, kiedy naród złamany nieszczęściem, czuł głęboki żal do Rzymu, za znaną encyklikę Grzegorza XVI z r. 1832, sprawiedliwą w zasadzie, choć może nie w porę wydaną, a wymuszoną jedynie groźbami Moskwy, że w razie jej odmówienia, wszystkich biskupów i księży polskich

na Sybir wywiezie. Nie można odmówić Mikołajowi, że zρέcznie wybrał czas, że pokusa dla narodu była straszną, zwłaszcza, że biskupi nasi w ogólności nie błyszczeli gorliwością o wiarę. A jednak nie wahali się na chwilę, i podszepty szatańskie jednomyślnie odrzucili. I za to im wdzięczność się należy, i autor pewno ich nie zgani, jakkolwiek przyjmując rosyjską propozycyę, byłiby tylko spełnili życzenie, które autor stawia dla Polski w wieku XVI. — W lat kilkanaście później, pewna liczba oficerów z emigracyi (jeden między nimi głośnego imienia), przyjęła wiarę mahometańską, w nadziei że za to, na czele armii tureckiej, będą mogli z Moskwą wojować. Wszakże to odstępstwo było w szlachetnym niby zrobione celu; wszak oni poświęcali swe sumienie za naród! Pomimo to, naród odsunął się od nich ze smutkiem, ze zgrozą; oni umarli ze zgryzoty! A i dzisiaj, gdyby jakiś rząd protestancki, angielski n. p., ofiarował nam pomoc swej armii i floty na wojnę z Moskwą, pod warunkiem, że przyjmemy anglikańską wiarę (rzecz nieprawdopodobna, przyznaję, a jednak piszący te słowa usłyszał sam taką propozycyę od gorliwego anglikanina), czybyśmy weszli z nim w podobny handel i dla takiej nadziei odstąpili swej wiary? Z pewnością nie, bo religia jest wyższa nad wszelkie ziemskie kombinacye, choćby też chodziło o rzecz najdroższą dla serca.

P. Bobrzyński zapewne odpowie, że Kościół narodowy niepotrzebował koniecznie odmieniać wiary

zwłaszcza odstępować od liturgii łacińskiej, tak poetycznej i duchowi narodowemu odpowiedniej; potrzebował tylko Papieża zastąpić Królem. To tylko wystarcza najzupełniej, by dokonać całkowitej schyzmy, by instytucją Bożą przemienić w instytucją ludzką, w pewnej mierze szatańską. Kościół w każdym kraju tylko przez swój związek z Papieżem jest wolny, prawdziwy i święty; ale ten związek musi być nietykalny, zwłaszcza w głębi ducha; musi objawiać się codzienną modlitwą i codziennem posłuszeństwem; inaczej Kościół jest kłamstwem, świętokradztwem i za karę swego buntu, wpada w hańbiącą u świeckich niewolę. Działo się to wszędzie i zawsze; cała historia jest tego dowodem. Niekoniecznie potrzeba na to zupełnego zerwania z Rzymem; dość aby w sumieniu kapłana przygasło uczucie miłości i wierności dla Papieża, a wnet stanie on się lichem narzędziem, pomiotłem świeckich, chorągiewką na dachu! A ta niewola, o której mówię, u nas byłaby tem dokuczliwszą, że niejeden król w państwie, ale każdy szlachcic o kilku chałupach byłby dla siebie i u swoich papieżem. — Dla człowieka z wiarą niema nic boleśnieszego nad takie mieszanie się ludzi świeckich do rzeczy sumienia, nad to regulowanie mojego stosunku z Bogiem, mojej czci dla Boga, przepisami biurokratycznymi; nic obrzydliwszego nad tę profanacją: że ludzie niepowołani, żadnej mocy od prawej władzy nie mający, wdzierają się w sprawowanie najświętszych tajemnic, najwyższej ofiary, w rozdawnictwo łask i darów Bożych.

Ubrać policyanta lub żandarma w szaty kapłańskie, choćby też z wiedzą władzyki, postawić go przy ołtarzu i w konfesyjale, jemu powierzyć szafunek krwi Chrystusowej, — oto schyzma, kościół narodowy, — i to p. Bobrzyński polskiemu narodowi w XVI wieku zaleca! Może to za wiele co powiem, lecz co do mnie wolałbym raczej jawne pogaństwo, zupełną niewiarę, państwo bez wyznania, nad tę sprośną komedią z rzeczy Bożych, odgrywaną świadomie i rozmyślnie, nad tę trawestacją Chrystusowego Kościoła. Mniej to wstrętne dla serca, i dodam, mniej szkodliwe dla dusz; poganin łatwiej się nawróci od schyzmatyka.

Być może, iż autor zarzuci, że w tej rozprawie nie jednaką z nim walczymy bronią; że on pisze polityczną historią, a my odpowiadamy mu teologią, że więc w ten sposób nie dogadamy się nigdy. — Nie, Szanowny autorze, to nie jest tylko teologia, to jedynie zdrowa polityka i jedyna narodowa tradycja. Polityka, która nie stawia gmachu z błota i w chwilowej sumień zawierusze nie widzi prądów ożywczych; tradycja, która poza kościołem katolickim, nie rozumie dla Polski potęgę, ani nawet życia. Komuż Polska, jeśli nie Kościołowi zawdzięcza swój byt i wszystkę swoją chwałę w przeszłości, komuż po upadku swą niezwyciężoność w oporze i swoją nadzieję wbrew wszelkiej nadziei? Jak dzisiaj, na Szląsku, Polak, który się zlutrzy, zniemieczeje nieodzownie; jak we wschodnich prowincjach, który przyjmie schyzmę dobrowolnie, przeradza się w Moskala i z ciała i

z ducha, tak i na zaraniu naszej przeszłości, w czasach pogańskich, owe plemiona nadodrzańskie i nadwiślańskie, które później z'oczyły się w Polskę, gdyby nie były przyjęły wiary katolickiej, jedneby zniemczyły, drugie zruszczały niewątpliwie. Niechże nam p. Bobrzyński ukaże w przeszłości ludzi rzeczywiście wyższych umysłem i charakterem, którzyby oddali Polsce wielkie dziejowe usługi a którzyby odstąpili od Kościoła lub odstąpiwszy na chwilę, doń nie wrócili? Chwał się Zygmunt August, to prawda z ciekawości, z rozpusty, może najwięcej, by się uwolnić od niemiłej żony; jednak nigdy zamysły protestanckie czy schyzmatyckie nie weszły głęboko do jego duszy. Zawsze biskup prawdziwie rzymski jak Hozyusz, umiał znaleźć drogę do jego sumienia. Kiedy Commendoni przywiózł na sejm parczowski księgę ustaw soboru trydenckiego, i zażądawszy jej przyjęcia, przemówił do Króla głosem wiary i przekonania, którego ówczesni biskupi polscy oddawna zapomnieli, stara katolicka tradycja odezwała się w sercu Zygmunta; i chociaż Prymas niegodny odradzał, a biskupi stawiali się miękko, Król nie czekając końca votów senatorskich z niezwykłą wyrzekł energią: „wola jest moja, aby wyroki soboru ekumenicznego trydenckiego były przyjęte i zachowane w Polsce“. I tak rzecz przeszła. I to jest największa polityczna i moralna usługa, którą ten monarcha oddał Polsce, zasługa, która wiele win jego w oczach historii maże. Tym czynem najsilniej on przyłożył

się do jedności i utrwalenia państwa, więcej nawet niż Unią lubelską; tym czynem protestantyzm został u nas prawnie, politycznie pobity, zanim go do reszty wyrzucili z kraju Batory, Zygmunt III, szereg znakomitych biskupów i Jezuici.

VI.

Niepodobna, bez napisania obszernej broszury, rozprawić się o wszystko, co w książce autora nas razi; więc te tylko podniesiemy jeszcze ustępy, które najwięcej leżą nam na sercu. Że autor sprawy zwyciężone, lub które takimi się wydają, mało waży, to z jego stanowiska utylitarnego wypływa. Nic więc dziwnego, że z góry traktuje Unią brzeską. Ale tym razem lekceważenie swoje posunął zbyt daleko. Nie wiemy, z jakich źródeł czerpał: jako źródło do historyi Unii cytuje wprowadzie jednego tylko pisarza i to schyzmatyckiego (Kojałowicza), ale wątpimy, czy tego nawet użytkował; pisarzy katolickich, jak Bartoszewicza (*Dzieje Kościoła ruskiego*), Likowskiego i Guépina nie zna; nie mówiąc już o źródłach społecznych, z których jedynie, i nie bez trudu, wysledzić można początki Unii. Ztąd w krótkim jego o Unii ustępie błędów i fałszywych poglądów nie mało. Powiada, że Unia była dziełem Jezuitów, że dokonali jej w r. 1596 czterej biskupi, między nimi Kuncewicz; że skutkiem jej, skutkiem ucisku bi-

skupów unickich, Rusini schyzmatycecy ujrzeni teraz swój punkt ciężkości w Moskwie (s. 335); że Kościół wschodni (dyzunicki) pozbawiony był w Polsce wolności (s. 354 i 377); że Unia nawet pod względem religijnym zaszkodziła, bo skoro istniały cerkwie unickie, to już nie było potrzeby budować w odległej Rusi, kościołów łacińskich dla kolonistów polskich, którzy tam tłumami garnęli się (s. 336). Wszystko to jest bezzasadne. Choć krótko, odpowiedzieć jednak na te zaskarżenia musimy, tem bardziej, że jak widno z książki p. Bobrzyńskiego, historia Unii tak mało u nas na nieszczęście jest znana.

Po wszystkie czasy, Ruś schyzmatycka pod panowaniem polskiem Ignęła do Moskwy, z wyjątkiem niektórych kniaziów. Nie pomogła Unia florencka. Izydor, gdy jej nie zdołał w Moskwie przeprowadzić, porzucił swą metropolią kijowską i pojechał do Rzymu. W owych czasach, i aż do ś. Józefata, nie rozumiano innego łączenia kościołów, jak na drodze hierarchicznej i rządowej. Pod następcami Izydora, pomimo znanego przywileju Warneńczyka, który porównywał w swych prawach duchowieństwo unickie z łacińskiem, a który poszedł w zapomnienie, Ruś oficjalnie tylko, przez swych metropolitów, związana była z Rzymem. Od czasu Heleny, żony Aleksandrowej, i ten mdły związek się zerwał; schyzmatycecy zasiedli znowu na tronie metropolitalnym w Kijowie, i Ruś cała, z wyjątkiem dyecezyi chełmskiej, powróciła znowu do schyzmy. Pódezas wojen Batorego z Iwa-

nem, pomimo zwycięstw polskich i pomimo że Ostrogski znajdował się osobiście w armii polskiej, Ruś modliła się publicznie w swoich cerkwiach za Moskwą *). Batory tak dalece był z Rusinami ostrożny, że nie śmiał im nakazać przyjęcia kalendarza gregoryańskiego, w chwili gdy go do Polski wprowadzał, chociaż go protestanci przyjęli.—Niebezpieczeństwo z t.j. strony zwiększyło się znacznie, odkąd Jeremiasz, patriarchy carogrodzki, przyjechawszy do Moskwy za kwestą, ustanowił tamże (1589) Joba „*patryarchą włodzimirskim, moskiewskim, wszystkich Rusi i wszystkich krajów północnych*“. Pierwszy Zamoyski spostrzegł groźne zło. Powracającego z Moskwy Jeremiasza zapraszał do swojej rezydencji, aby go nakłonić bądź do pozostania w Kijowie, bądź do utworzenia tamże osobnego patriarchy. Jeremiasz wymknął się. Sprawa była naglącą. Patriarcha przed odjazdem, poustanawiał stauropigie, niezależne od władków, owszem mające prawo ich kontrolowania, zależne wprost od patriarchy. Łatwo zrozumieć, jaki ztąd powstał zamęt; we Lwowie mianowicie rządy władków stały się niepodobnemi. Zebrani w Brześciu r. 1590 (właściwie w Belzie)

*) Świadczy o tem Possewin, mówią: o Rusinach 1581: „*Senatus et imprimis rex, qui eorum fidem suspectam habet, cupit eos catholicos fieri; etenim incolae ipsi, in schismate M schis adhaerentes, comperti sunt orationes publice facere pro victoria eorum contra Polonos*“.

podpisali akt, którym zrywali z patryarchami wschodnimi i prosili Zygmunta, aby chciał być głową duchowną Kościoła ruskiego, przytem zapowiedzieli reformę cerkwi. Główną sprężyną w tem dziele był Maciejowski, biskup łucki *r. l.*, wykonawcą Terlecki, tegoż imienia eparchii władyka. Zygmunt odpowiedział, jak na monarchę katolickiego przystało, że nie jego, ale Papieża mają uznać swą głowę. Autor znajdzie w tem powód do nowych żalów na Zygmunta; my przeciwnie uznajemy w tem jego zacność i mądrość. W roku następnym (1591) zgodzono się na żądanie królewskie, ale jeszcze sekretnie. Wyjazd Zygmunta do Szwecyi i poróżnienie z Zamoyskim wstrzymały sprawę przez dwa lata. Książę Ostrogski, nie rad z Cerkwi, którą kochał bardzo, nie rad z władyków, po tanowił sam przeprowadzić Unię z Rzymem; żądał, aby go upoważniono do traktowania z Papieżem w imieniu całej Cerkwi; nie ufając Terleckiemu, skłonił Pocięja, że porzuciwszy kasztelanią, wyświęcił się i został biskupem włodzimirskim (1593).

Tychczasem Terlecki, zawsze popierany przez Maciejowskiego, objeżdżał władyków, zachęcając ich do śmielszego działania; nareszcie w grudniu 1594 skłonił metropolitę Rażozę do przyzwolenia, nie bez trudności; bo ten na możnych panów się oglądał, zwłaszcza na Ostrogskiego i Skumina Tyszkiewicza. Z podpisami Metropolity i sześciu władyków, znalazł się Terlecki w trzy miesiące potem w Krakowie (luty 1595), gdzie rzecz oficjalnie, ale bardzo sekretnie, z Królem i senatorami roz-

bierano. Ruś żądała: zachowania w całości obrządku wschodniego, kalendarza juliańskiego, porównania w prawach i przywilejach szlachty ruskiej z łacińską, krzesł w Szacie dla metropolity i ośmiu władyków; na tych warunkach Cerkiew ruska uznawała zwierzchność Papieża. W Krakowie zgodzono się na wszystko, prócz krzesł senatorskich, względem których decyzją musiano odłożyć do sejmu; zażądano nadto podpisu Pociēja, który dotąd stał na boku. Dopiero wtedy Pociej przystąpił do zamierzonej Unii, ale wszystko odbywało się jeszcze w wielkiej tajemnicy. Nagle, Bałaban, władyka lwowski, jeden z największych wichrzycieli, jakich Cerkiew ruska temi czasy posiadała, nie mogąc znieść dłużej walki ze stauropigią, ogłasza swe poddanie się Papieżowi. Długo tajone układy wychodzą na jaw; książę Ostrogski wpada w straszny gniew, że bez jego wiedzy władcy poważyli się stanąć o Cerkw; metropolita ze strachu radby się cofnąć, atoli bez obrazy Króla i senatu odwołać swego przyzwolenia już nie mógł. Pod koniec czerwca 1595 przyjeżdża on do Brześcia, tam z Pocijem i Terleckim podpisuje warunki poddania się Papieżowi; resztę podpisów zbiera Terlecki objeżdżając raz jeszcze władyków; i ten to akt uchodzi za dzieło Synodu brzeskiego, którego właściwie w tym roku (1595) nie było. Z tem pismem i z listami oficjalnemi metropolity, Pocij i Terlecki jadą do Krakowa: w sierpniu (1595) nastaje już zupełne z Królem i Nuncyuszem porozumienie; w listopadzie obaj znajdują się już

w Rzymie. Przyjął ich z niewymowną radością Klemens VIII: „o moi drodzy Rusini, zawołał, przez was cały Wschód spodziewam się nawrócić!“ — Tymczasem w kraju ciężkie przeciwności nastąpiły. Obrażony w swej dumie książę Ostrogski wziął się, by całe dzieło obalić; dwóch władyków, Bałabana i Kopystyńskiego (przemyskiego) skłonił, że cofnęli swe podpisy, powrócili do schyzmy; Książę wydał groźny manifest. Wówczas to z dóbr jego wyszedł Nalewayko, rodzony brat ostrogskiego proboszcza i zebrawszy zbrojną bandę pustoszył dobra władyków, zwłaszcza Terleckiego. Pałac i rabując zaszedł aż w Pińskie, dopiero zniósł go Żółkiewski. Po powrocie dwóch Władyków z Rzymu, 1596, odprawił się w Brześciu synod z wielką uroczystością, na który z ramienia Króla przybyli komisarze. Ostrogski robił co mógł, aby go zawichrzyć, zerwać; gdy nie potrafił, usiłował zawiązać wspólną ze wszystkimi protestantami ligę przeciw katolikom; sprowadzał ze Stambułu wysłańców patriarszych Nicefora i Laskarisa, aby odbudować schizmatycką hierarchią. Byłby i dalej szedł w swoim zapędzie, ale się przeląkł Zamojskiego; zamilkł przed jego głosem w senacie (1599), który dał mu do zrozumienia, że go można pociągnąć do odpowiedzialności za tajemne znoszenie się z obcymi i knowania niebezpieczne dla spokoju Rzpltej. Wnet potem umarł Ragoza; Peciey objął trudne i pełne walki następstwo.

Rozszerzyliśmy się nad temi szczegółami, których szukać trzeba w źródłach społecznych, aby przekonać autora, że Jezuici nie mieli udziału w zawiązaniu Unii brzeskiej, a także, że sympatye Rusi do Moskwy, nie od czasów Unii datują. Unią wywołał z jednej strony nierząd, w jakim się Cerkiew znajdowała pod kierunkiem niesumien-nych patryarchów, z drugiej niebezpieczeństwo grożące od Moskwy wschodniej ścianie Rzpltej. Ducha religijnego, prawdziwie katolickiego, mało tam było w początkach, raczej polityczny. Maciejowski, Terlecki, Ostrogski, Zamoyski, wreszcie Król, oto główni działacze. Kuncewicz był jeszcze młodzieniaszkiem w owej chwili; dopiero we 21 lat później (1617) został biskupem; do zawiązania Unii na Synodzie brzeskim, jak autor utrzymuje, nie mógł należyć. Niemniej dlatego on potem stał się jej duszą. Nie znając życia Śgo Józefata, nie można zrozumieć historyi Unii; on kluczem do niej. Pocięty i Rutski byli wprawdzie wielkimi pracownikami przy tej budowie, ale dopiero Śty Józefat swoją krwią męczeńską dał jej mocne podwaliny; on stworzył szereg znakomitych wlad- dyków i archimandrytów, on tchnął w nich swego ducha i ci po Bożemu dalej rzecz prowadzili. Za- sługa jego nie minęła, dzieło niezniszczone; owszem ma przyszłość wielką przed sobą, bo leży w na- turze, w konieczności rzeczy. Dzisiejsze klęski nie przesądzą sprawy; los to Unii być w ciągłym niebezpieczeństwie. Podczas wojen kozackich zni- knęła ona prawie do szczytu, lecz później odro-

działa się świetniej, niż kiedykolwiek. Tak będzie i teraz, może za naszego jeszcze życia, pomimo ostatnich tryumfów schyzmy; i któryś z Papieżyw będzie mógł znowu wraz z Klemensem VIII zawołać, że przez Unię cały Wschód nawróci! Tylko żal ściska serce, kiedy się widzi, że Polacy tak mało dziś tę sprawę rozumieją, tak mało znają jej historią, choć to im od Boga wskazane apostołstwo i jedna z największych zasług narodu w przeszłości!...

Również niesprawiedliwym jest, co mówi p. Bo-brzyński o gwałtach biskupów unickich, jakoby dokonywanych na dyzunitach. Rozgłosili to schyzmatycy i autor za nimi powtarza. Biskupi wypędzali z cerkwi księży, którzy się przemieszczali Kościołowi i przechodzili na schyzmę, bo propaganda schyzmatycka szła wciąż z Wilna i ze Lwowa, bez mała — jak dzisiaj. Gdyby w naszych czasach któryś proboszcz łański ożenił się i został lutrem; czyżby takiego hultaja Biskup nie przepędził? Toż i władcy unicy czynili; innych gwałtów autor nie znajdzie. A przeciwnie, wielu można wymienić męczenników przed Sw. Józefatem i po nim, co pod nożem schyzmatyckim zginęli. Tak i dzisiaj postępuje schyzma: męczy, batoży, rujnuje unitów, zamyka ich w więzieniach, pędzi na Sybir; a nad uciskiem Rusinów w Galicyi, od Polaków tak srodze prześladowanych, zanosi się od płaczu! — Krzywdzącym i bezzasadnym podobnie jest zarzut autora, że Kościół wschodni nie miał w Polsce wolności; miał jej

owszem za wiele. W r. 1620 zjawił się znowu w Polsce włóczęga grecki, patriarcha jerozolimski, Teofan, sprowadzony przez bractwa wileńskie i lwowskie; i samowolnie, bez wiedzy Króla, zamianował i wyświęcił Metropolitę i sześciu władyków, osadził ich na tych eparchiach, które z przyzwoleniem Króla inni już dzierżyli, oddał im pod władzę Ruś całą! Za takie zuchwalstwo bezprzykładne ani jemu, ani jego władynom włos z głowy nie spadł; owszem, uznał ich później Władysław IV, i zaimprovizowaną hierarchią schyzmatyczną w ten sposób ustalił. Odbudowana metropolia schyzmatyczna w Kijowie stała się ogniskiem żywiołów, które pewno nie były przyjazne Polsce. W silne ręce ujął rządy metropolitalne Mohiła, założył w Kijowie bogato uposażoną akademią teologiczną; na podobną do niej, aż do ostatnich czasów, Rzplta swoim kosztem nie zdobyła się. Uznany przez Sejm, protegowany przez Władysława, broniony od kozaków, władynom schyzmatyckim któż w Polsce był tak silny, aby krzywdę bezkarnie wyrządzał? Pewno, nie biskupi uniecy! — O tych faktach, jakkolwiek pierwszorzędnych, autor nie wspomina. Czy ich nie zna?

I to także plonty, naszym zdaniem, zarzut, że obok cerkwi w jedność z Rzymem będących, nie były już potrzebne, na odległej Rusi, kościoły łacińskie dla kolonistów łacińskich, spieszących gromadnie w początkach XVII wieku z nad Wisły. W kijowskiem, braclawskiem i na głębokiem Podolu, Unia nie przyjęła się za Zygmunta III; cer-

kwi unickich tam nie było, nie ścierpieliby ich Kozacy. Dopiero w XVIII wieku, po traktacie karłowickim i po odłączeniu się kozaczyzny, zakładano tam bazylikańskie klasztory, i jak wiadomo, przynosiły one tym prowincyom prawdziwe dobrodziejstwo. Ale i w XVII wieku kościoły łacińskie były tam gwałtownie potrzebne, jeżeli ludność osadnicza, mazurska, nie miała zruszczyć, żywiołu kozackiego zasilić. — Nie stawiali ich jednak panowie, bo biskup łaciński nie byłby pozwolił na erekcyą parafii, bez przyzwoitego jej opatrzenia, a oni żalowali wydatku. Ratując dusze osadników, byłiby i narodowość ich uratowali; byłyby tam gęsto osiedliły się gniazda polskości. Budowano natomiast cerkwie schizmatyckie. Władyka schizmatycki nie miał nic przeciw temu, by w każdym nieledwie futorze skleciła się jakaś cerkiewka drewniana, i przy niej osadzał popa, który mu się opłacał a od prostego kozaka ani wykształceniem ani usposobieniem wcale się nie różnił. — I cóż się stało? Oto, że do tych cerkwi musieli chodzić polscy osadnicy, katolicy, poczciwe mazury; musieli, bo kościołów nie było; w tych cerkwiach schizmatyckich się żenili, w nich chrzcili swe dzieci, i na nieszczęście w drugim pokoleniu skożaczeli zupełnie. Przybyła w ten sposób kozactwu ogromna siła, głęboko Lachów nienawidząca, jakoby za karę, żeśmy tych biednych ludzi przez brudne skąpstwo opuścili!... Bolesne to i wstydzące wspomnienia; kończąc na nich ze sprawą Unii, niech nam wolno będzie wyrazić nadzie-

j, ęże p. Bobrzyński przy drugim wydaniu swego dzieła lepiej się w historii Unii rozpatrzy i nie będzie się czynił echem schyzmatycznych potwarzy. Niech nam nie bierze za złe tego wyrażenia; zmusza nas do niego miłość prawdy i miłość sprawy, która dla katolika i dla Polaka jest jedną z najdroższych.

VII.

Już po sto razy słyszeliśmy, że wszystkiego zle-go, jakie się stało za Zygmunta III, byli przyczyną Jezuici; p. Bobrzyński jeszcze raz to powtarza. Z małym wyjątkiem, tyle w tem prawdy, co w zarzutach przeciw Unii, na które dopiero co odpowiadzieliśmy. Nie wątpi on, że dramatu Dymitra Jezuici byli twórcami: ich to „bujnej wyobraźni“ plan. Nam się inaczej ta rzecz przedstawia. Już Łubieński wspomina, że ustalona była w owym czasie opinia (*constans in eo tempore fama erat*), iż Dymitr zostawał w zмовie z rokoszanami, nie w innym celu oczywiście, tylko aby Zygmunta wypędzić i zasiąść na tronie polskim. Prof. Szujski z rękopismu Wielowieckiego wydobył niemało wskazówek, które to mniemanie stwierdzają. Autor nie korzystał z tej pracy, jednej z najlepszych uczonego profesora. A jednak tylko te wskazówki, Łubieńskiego i Wielowieckiego, mogą rozjaśnić historią Dymitra i wiele sprzecznych napozór faktów pogodzić. Czy Dymitr był prawdziwy albo nie, decydować o tem trudno; to podobno na za-

wsze zostanie zagadką. Faktem jest, że prócz Mniszcha, głównie nim opiekował się Zebrzydowski i on to go naklonił do przyjęcia wiary katolickiej, co utrudniało wielce zajęcie tronu carskiego, ale bez czego o tronie polskim nie można było dlań myśleć. Również koniecznem było pozyskać dlań Zygmunta III — do czasu. Bez przyzwolenia króla, przynajmniej cichego, nie dałaby się urządzić wyprawa na Moskwę, zwłaszcza po świeżo zapadłej konstytucyi, zakazującej wypraw samowolnych za granicę (1601). Upewniono go więc, że nowy car zwiąże się z nim przeciw Turcy; tą samą nadzieją oszukano Papieża; otrzymano w ten sposób, że na werbunek kup ochotniczych patrzano przez szpary, a przy tem, choć nieznaczne, pieniężne zasiłki. Wyprawa powiodła się nadspodziewanie; Dymitr przywdziewa carską koronę. Wnet zapomina o danych obietnicach, twarzą przyjmując posła królewskiego; Xu Sawickiemu, prowincyałowi Jezuitów, który wybrał się do Moskwy przypomnieć owe zrobione Królowi i Papieżowi nadzieje, oświadcza, że prędszej na Zygmunta, niż na Turka obróci swą armią stutysięczną. Jedno mu tylko nie wyszło z pamięci: ślub z Maryną, chociaż wiedział dobrze, jak wiele się naraża kładąc koronę carowej na głowę Polki i katoliczki. I to dziwne, że oddziału Polaków do Polski nie odsyła, że przeszło 2000 żołnierzy polskich zatrzymuje na swym żołdzie, chociaż nie mógł wątpić, że to mieszkańcom stolicy się nie podoba, a w razie buntu, hufiec ten był za drobny, aby go obro-

nić. Ale przestaniem się dziwić, skoro zważymy, że i Maryna na tronie carskim i oddział polski przy jego boku, były konieczne, jeżeli nietylko jako car moskiewski, ale także jako przyszły król polski miał z Zygmuntem wojować. Jedno i drugie, szkodliwe w Moskwie, dla planów polskich było nieodzowne, jeżeli Polacy nie mieli w nim widzieć obcego, zdobywcy, ale owszem Pana skojarzonego z nimi ścisłemi związkami. — Gdy więc w Moskwie wszystko dla rokoszanów układało się tak pomyślnie, niedziw, że w kraju przybywało im śmiałości. Zebrzydowski, Janusz Radziwiłł, Smogulecki, Herbut, Stadnicki djabęł, wzbudzają szlachtę. Sejm zerwany w kwietn'u (1606); na czerwiec wichrzyciele naznaczają zjazd do Lublina; z widocznem zamiarem ogłoszenia bezkrólewia już się z tem nie tają. Na ten zjazd, mówi Łubiński, czekał Dymitr, snąc aby wojnę Zygmuntovi wypowiedzieć; ale i Zebrzydowski czekał z ogłoszeniem bezkrólewia na wypowiedzenie wojny. Tymczasem Dymitr zabity (27 maja). W jednej chwili cały plan rozsypuje się; główna podpora usunięta. Miesza się Zebrzydowski, zaprzecza aby kiedykolwiek zamyślał o detronizacyi (choć ją później ogłoszono); naglony przez swoich, aby wyjawiał nareszcie owe tajemnice o królu, które wciąż zapowiadał, oświadcza że żadnych tajemnic nie ma, że nic nie obiecywał. Szlachta traci zaufanie, rozjeżdża się. Za ledwo dziesiąta część pozostaje wierną naczelnikom buntu; tych Żółkiewski i Chodkiewicz biją na głowę pod Ga-

zowem. Rokosz stłumiony. Oczywiście nie pora była chwalić się z planem dymitrowym; owszem należało wyprzeć się wszystkiego, zwalić winę na Jezuitów. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni; potomność uwierzy. — Nie dajemy tego tłumaczenia za niewątpliwe, choć tak znaczne powagi za nim przemawiają i wszystkie poszlaki prowadzą na ten tor; mniemamy tylko, że jest najprawdopodobniejsze. Byłoby do życzenia, aby prof. Szujski, z tym zapasem erudycji, jaki ma zawsze w pogotowiu, ważny ten przedmiot jeszcze raz obrobił. Nasz autor nie przyjmuje takiego widzenia; zyskuje przez to nowy żal do Jezuitów i nowy pogląd na gravamina rokoszanów. Wszak on w nich wmawia, że byliby zgodzili się i uspokoiili, gdyby Król powierzył przy sobie rządy, jakoby ministrom parlamentarnym, ludziom tego rodzaju jak Żółkiewski i Chodkiewicz. Snać zapomina, że ci właśnie byli u nas najmniej popularni, podobnie jak Zamoyski dopóki żył Batory, podobnie jak każdy, który stał wiernie przy królu. Janusz Radziwiłł zowie z pogardą Żółkiewskiego „parweniusem“, Chodkiewicza „łotrowskich sztuk mistrzem“ — Lecz i w tem Króla p. Bobrzyński winuje, że nie skorzystano z guzowskiego zwycięstwa dla stworzenia silniejszego rządu: sam Zygmunt miał tego nie dopuścić (s. 342)! To już chyba prosta nienawiść do Zygmunta podsunęła taki sąd. Pierwszym warunkiem skrócenia anarchii było zdjąć głowy naczelnym anarchistom; nikt o tem nie pomyślał.

I owszem, kiedy Chodkiewicz rzucił się w pogoń za uciekającym Radziwiłłem, aby mu nie pozwolić zebrania nowych sił na Litwie, Senat upomniał Hetmana, — aby nie molestował zwyciężonego!...

VIII.

Niekiedy i dla Jezuitów autor ma słowo łaskawe: źli za Zygmunta III, za Batorego nie byli bez zalet. Oto co mówi o nich: „Do walki z reformacją musiała Polska zyskać, wyhodować sobie młodych szermierzy, którzyby w karność zakonną ujęci, błyszczeli nauką a zarazem przykładem swego życia; którzyby znali na wskrós naród i z umysłami jego umieli się liczyć. Takich szermierzy wyhodowało Polsce stowarzyszenie Jezusowe, w Hiszpanii powstałe, na absolutyzmie Filipa II zorganizowane, nauka, która się naokoło soboru trydenckiego skupiła, jaśniejące, wiarą, która się na tym soborze zbudziła, zagrzana. (s. 318).“ Dość dziwnie brzmi ta pochwała - S. Ignacy tworzący swoje Towarzystwo na wzór Filipa II; Jezuita zagrzana wiarą zbudzoną na soborze trydenckim! Przy głębszej nauce historii Kościoła, przy znajomości początków któregośkolwiek zakonu, byłyby z pewnością nasunęły się inne wyrażenia. — Posłuchajmy dalej: „W szkołach katolickich uczono teraż przedewszystkiem, że władza królewska od

Boga pochodzi, że swawola religijna rodzi polityczną rozterkę, że monarchia absolutna jest formą rządu przez pismo święte za najlepszą uznaną,.... nie miały takiego kierunku popierać Batory?“
Peż tu niedokładności w tak krótkim ustępie! Jakto, toż dopiero od Soboru trydenckiego, Kościół nauczał, że władza pochodzi od Boga? Wobec tylu tekstów Starego Testamentu, wobec słów i przykładów Chrystusa Pana, wobec znanych powszechnie upomnień Św. Piotra i Ś. Pawła, mógłże kiedykolwiek uczyć inaczej?— A jeżeli ta pochwała do Jezuitów wymierzona, to właśnie czas, o którym autor mówi, najmniej stosownie wybrany. Autor snadź zapomniał, co protestanci zarzucali i do dziś dnia zarzucają, pisarzom jezuitskim z pierwszego stulecia jak Bellarmin, Suarez, Mariana, że rozróżnieniami, które wprowadzili, podkopali władzę królewską, uprawili bunt i detronizacye. Kiedy monarchowie protestancy XVI wieku, w moc jakoby swej władzy pochodzącej od Boga, zmuszali swych poddanych do przyjęcia herezyi (*cujus regio, ejus et religio*), pisarze jezuitscy odpowiadali, że „władza jest z prawa Bożego, ale prawo Boże nie oddaje jej żadnemu pojedynczemu człowiekowi, ale społeczności; społeczność zatem może ją oddać innemu, może ją przenieść na jednego lub wielu“. Mariana, jak wiadomo poszedł dalej, do tego stopnia, że między jego wywodami a Kontraktem socyalnym pewne podobieństwo upatrują. Co więc autor mówi o po-

jęciach politycznych Jezuitów z owej epoki, nie zgadza się z rzeczywistością; chyba, że miał na myśli nie Jezuitów w ogólności, ale polskich tylko, jak Skarga i t. p.



jeżeli politycznych i historycznych i owo jest
zgodnie z rzeczywistością: chyba że miał us
wydł nie i historycznych i owo jest
któ jak Skarga i t. p. i t. p. i t. p.

IX.

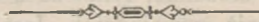
Przestajemy na tem, choć niejedno jeszcze byłoby do podniesienia. Według naszego zdania, książka p. Bobrzyńskiego, chociaż ma wiele pierwszorzędnych zalet, które z prawdziwą uznajemy radością, napisana jest pośpiesznie, w niejednym miejscu niedość rozważona, wydana zawczasie. Autor obdarzony bystrym sądem i objęciem, może zbyt zaufał sobie, nie zgłębił wielu przedmiotów; śmiało i bardzo śmiało wydaje swe wyroki, choć tym wyrokom niezawsze odpowiada jednakowa gruntowność. Autor niechaj wierzy, że tych słów nie podyktowała nam niechęć; owszem, nie mało przy tem pisaniu kosztowała nas zasada: ... *sed magis amica veritas!*—Dodajmy, że wiele przyczyn złożyło się na pomyłki autora. Jeśli zważymy, jak trudną jest i obszerną nauka historii polskiej, ile nierozwiązanych przedstawia do dziś dnia wątpliwości, jak na każdym prawie kroku zmusza piszącego czerpać u samych źródeł (a ileż na to trzeba czasu!), do ilu ubocznych, specjalnych zobowiązuje studyów, to przyznamy, że niemałe to zadanie zerwać się na

historyzoficzny obraz całości dziejów naszych, i zrozumiemy, że z tego zadania, dziś jeszcze, może niepodobna wywiązać się jakby należało. Dopóki materiały nasze niewydane i niezużytkowane, dopóki pojedyncze epoki nieobrobione, dopóki wyłączne studia nad Kościołem, prawodawstwem, administracją i literaturą niewykończone, to każda tego rodzaju próba, nie z jednej to z drugiej strony, chromać koniecznie musi.

Powiedzmy także, że jak wszędzie, tak i u nas, historyk polski musi mieć spory zapas doświadczenia publicznego, bo bez niego historii politycznej się nie zrozumie; tylko że u nas o ten zapas trudniej niż gdzieindziej. Jest jeszcze inna, niezmierna trudność dla Polaków w badaniu przeszłości: tą trudnością są wrażenia bolesne, których od stu lat bez przerwy doznajemy. Jakiegoż to potrzeba czuwania, aby nasz sąd nie zaraził się od uczucia, nie uprzedził się, nie zgorzkniał, i żalów i potrzeb obecnych nie przeniósł w minione epoki! Któż z piszących obecnie może powiedzieć że od tego niebezpieczeństwa całkiem się wyzwolił? To prawie niepodobne. Przy tylu więc przeszkodach, i zewnętrznych, i wewnętrznych, z którymi ma do walczenia, historyk polski ma prawo żądać od czytelnika, aby był dla niego wyrozumiały; zwłaszcza gdy, obok nieodzownego w ludzkiej robocie piasku, przynosi mu choć trochę złota. Tego złota jest nie mało w książce p. Bobrzyńskiego, i to pierwszej próby. Są ustępy tak rozumnie, z takim zmysłem politycznym

pojęte i tak pięknie wyrażone (że tu o ostatnich tylko wspomnim kartach), iż nie można ich czytać bez szczerzego uznania i wdzięczności. A jeśli pomimo to, słabsze strony książki jego wywołują sąd surowy, to podobno głównie dla tego, że i autor, w swoich sądach, bywa czasem zbyt ostry i stanowczy.

Jarosław, d. 6 kwietnia 1879 r.



Post Scriptum. Już artykuł był oddany do drukarni, kiedy doszedł nas, w tym samym przedmiocie, list od człowieka, który i na polu piśmienniczym i na polu służby narodowej, bardzo zaszczytne zajmuje stanowisko. List poufny, więc autora nie wymieniamy; możemy tylko upewnić p. Bobrzyńskiego, że i on ceni go równie wysoko, jak i my. Ale uwagi w nim zamieszczone podajemy, bo choć krótkie, więcej są warte, niż wszystko co nasza recenzja zawiera. Oto słowa korespondenta:

„Choć książki całej jeszcze nie przeczytałem, to jednak, co już wiem o niej, jest mi świadectwem wielkiej zmiany w umysłach, jaka się dopełnia w ostatnich latach. Pretensya być trzeźwym prowadzi nieraz do zupełnego racjonalizmu. Prawda, żeśmy zbyt wiele zostawiali miejsca poezyi, nawet w historycznych poszukiwaniach; ale wszystko wzięwszy razem, Mickiewicz, pomimo swego idealizowania *liberum veto* itp. rzeczy, daleko głębiej rozumiał naród, jego przeszłość, jego ducha, niż p. Bobrzyński, który śmieje się z wszelkiej misyi i przedrwiwa utworzony przez

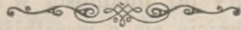
poetów ideał szlachcica. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że robić poszukiwania, wydawać materyały historyczne, to rzecz wprawdzie konieczna, i nie przeczę, żeśmy do tego zbyt późno się wzięli, ale to może każdy sumienny i pracowity człowiek. Lecz, aby objąć całą przeszłość narodu, napisać jego historią, do tego sama praca umysłowa nie wystarczy; trzeba nosić w sobie treść tego co naród przebolewał, przewalczył i przemyślał; trzeba jeszcze i w prawdach Bożych być wywiczonym; inaczej będzie to albo pospolita kompilacya, albo pedancka sucha robota, albo pokrywka, suknia uszyta, mniej więcej dowcipnie, dla pewnej teoryi, ale nie prawda i nie historia wcale!

„Zasługą jest p. Bobrzyńskiego i innych przed nim, kiedy dowodzą, żeśmy rządu nie mieli i że to było jedną z głównych przyczyn naszego upadku. Słusznie to powtarzać i nowemi wspierać spostrzeżeniami, bo złe leży w nas głęboko; choroby wiekowe nie leczą się tak prędko. Ale to jeszcze nie wystarcza do wytlómaczenia i naprawy wszystkiego. Podatki płacić koniecznie potrzeba, to prawda, ale samo płacenie podatków jeszcze wszystkim nie zaradzi. Opłacają je najdoskonalej i we Francyi dzisiejszej i w Prusiech i w Stanach Zjednoczonych, a jeszcze żadne z tych społeczeństw ideałem nie jest; przytem każde z nich jest inne. P. Bobrzyński chce, jak się zdaje, nas indywidualności naszej pozbawić, ulepić z nas jakieś teoretyczne państwo, na które elementów

w nas nie ma. Śmiesz go ta rycerska i szlachezna postać szlachcica polskiego. Wiem i przyznaję mu najzupełniej, że podgolonych czupryn i wielkich wąsów u nas nadużyto; ale w tej postaci było wiele szczerego złota, które bądź co bądź uszanować i ukochać trzeba, jeżeli nie mamy zniknąć całkiem. Przyszłość tylko z przeszłości się rozwija; z konia tylko, koń się rodzi; może być udoskonalony i ku temu dążyć trzeba, ale chcąc zmienić jego naturę, tylko muła otrzymać można, który już płodności w sobie nie ma. P. Bobrzyński śmieje się z wszelkiej misyi, a tylko narody wierzące w jakąkolwiek misyą żyją i znaczą w historii. Uczucie to jest często niejasne, niesamowiedne, ale póki jest, póty tli życie. Wydrzyj je z duszy, a może naród zostać na jakiś czas spokojnym, rządym i nawet bogatym Holendrem, ale już tylko wegetować będzie, jak teraz wegetuje Holandya, w której już i handlowa przedsiębiorczość zamiera.

„P. Bobrzyński potępiając przypisywanie narodowi jakiejkolwiek misyi, miał zdaje się na myśli Unię kościelną, dla której jest niechętny, i powołanie do nawrócenia, z jej pomocą, północy i wschodu. Jakże to zmniejsza naszą historią; jak ścieśnia horyzont!.. Że Pan Bóg rozdziela pewne posłannictwa narodowe, czyż tego nie dowodzi Izrael, ten wieczny prototyp wszystkich narodów? Wiem, że nowego Mesyasza nie potrzebujemy czekać; to też nie tak wielkie posłannictwa dzisiaj.

„W ogóle, trzeba koniecznie dla dusz ideału; zastąpić go żadna organizacya państwowa i najdoskonalsza nie potrafi. Niemożna go więc z historii naszej wyrzucać, albo go w niej zacierać. Nam mniej to wolno, niż komu bądź innemu, a zdaje mi się, że p. Bobrzyński, z miłości do kraju, nie wątpię o tem, właśnie ku temu zmierza.“



ODPOWIEDŹ
PANA BOBRZYŃSKIEGO
na powyższą recenzją.

W tym miejscu...

ODPOWIEDŹ
PANA BOBRZYŃSKIEGO
na powyższe uwagi.

Z pewnego rodzaju dumą, czyta każdy z nas młodszych historyków polskich, recenzję swojej pracy, jeśli ona wychodzi z pod pióra tak doświadczonego wodza, jakim na polu dziejopisarstwa naszego obok J. Szujskiego, jest X. Walerjan Kalinka. Mając do czynienia z takim recenzentem, niewstyd i w jednym i w drugim uznać się zwyciężonym, a tem łatwiej można to uczynić, jeżeli recenzya w ogóle pracy i talentowi autora słów uznania nie skąpi. Byłbym też krytykę X. Kalinki przyjął z uczuciem tylko największej wdzięczności i za podstawę do dalszych studyów ją użytkow. I, gdybym w niej nie znalazł ustępów, o których muszę otwarcie i jak najprędzej powiedzieć, że szanowny recenzent zupełnie mię niezrozumiał i podsunął mi tendencye i myśli, których, pisząc moją książkę, zupełnie nie miałem. Sądzę, że sprostowaniem tem samemu recenzentowi największą sprawię przyjemność, a pracę moją od mylnego jej tłumaczenia ochronię.

S pownego robota dnu, czata kady z nas
mofatych historyków polskich, recenzję swojej
pracy, jeśli ona wychodzi pod pióro tak do-
świadczonego wozka, jakim na pola dziejowian-

W skreślonych przezemnie dziejach średniowiecznych Polski dopatrył się szanowny recenzent rażącej sprzeczności. Miałem tam w wielu miejscach zdradzić schyzmatyckie tendencje, w innych zaś znowu stwierdzić istotnie katolickie uczucia. Mnieby się zdawało, że wówczas dopiero można komuś niekonsekwencyę i nieloiczność zarzucić, jeśli się wyczerpie wszystkie sposoby pogodzenia ze sobą zdań, które na pozór mogły się sprzecznymi wydawać. Czyż szanowny recenzent zadał sobie tę pracę, czyż ona była tak ciężką i trudną?

Cała moja historia średniowieczna Polski opiera się na spostrzeżeniu i przekonaniu, że Kościół katolicki był podstawą i dźwignią nietylko naszej cywilizacji, ale nawet politycznej i społecznej organizacyi. Przekonanie to, które u wielu historyków było jedynie frazesem, starałem się przeprowadzić przez wszystkie szczegóły polityki ówczesnej i ówczesnych urzędzeń, pozostałem mu wiernym nawet w najdrażliwszych, najczęściej na niekorzyść Kościoła i jego wpływu rozwiązywa-

nych kwestyach, jak przy zabójstwie św. Stanisława, przy reformie dokonanej przez legatów papieskich w XII i XIII stuleciu, nakoniec przy sprawie hussyckiej i polityce Zbigniewa Oleśnickiego, której prawdziwą napisałem apoteozę. Widzi to szanowny recenzent, przytacza nawet własne me zasadnicze słowa: „tylko silne rządy Kościoła katolickiego mogły stać się dla tego słowiańskiego, a więc słabego i niesfornego narodu szkołą politycznego życia.“

Czyż wobec tego wszystkiego, wobec ogólnego wrażenia, jakie na każdym czytelniku robią moje średniowieczne dzieje, nienależało kilku wątpliwych wyrażen, gdyby nawet takie się znalazły, w tym duchu ogólnym tłumaczyć, zamiast autora zarzutem niekonsekwencji i tendencji obarczać? Stawiam to pytanie nawet na wypadek, gdyby się wątpliwe i dwuznaczne wyrażenia znalazły. Ale takich wyrażen w całej mojej średniowiecznej historii, zdaniem mojem najgłębszem, wcale nie ma i było też dla mnie największą niespodzianką, że je szanowny recenzent wynalazł. Przypatrzmy im się bliżej.

Ustępy, które szanowny recenzent przytacza i które dlań kamień obrazy stanowią, są następujące:

„Wpływ bizantyński na Bułgarów i Ruś sięgał niezmiernie daleko, absolutyzm bowiem cesarzów wschodnich zgadzał się zupełnie z dążeniem jedynowładców bułgarskich i ruskich, Kościół wschodni, służący państwu i stanowiący instytucję po-

lityczną, dawał władzy monarszej najsilniejszą podporę, prawo rzymskie skodyfikowane na Wschodzie przeprowadzało absolutyzm ten we wszystkich kierunkach.“ Wszakże to tylko suchy fakt, rzecz znana, że o ile Kościół rzymski przyczynił się do zbudzenia idei wolności i samoistności społeczeństwa, o tyle wschodni był narzędziem w rękach jedynowładców. Szanowny recenzent w słowach moich widzi jednak „niepojętą za Kościołem wschodnim tęsknotę“.

Mówiąc o Kroatkach i Słowenach, ubolewam nad tem, że Kościół rzymski zawojowany podówczas przez Niemców, niemógł ochronić ich od wynarodowienia i utraty politycznego bytu. Mówiąc zaś o wpływie bizantyńskim na Słowian południowych, podnoszę znany fakt, że „cesarstwo wschodnie zupełnie osłabło, dlatego niemogło myśleć o podboju krajów słowiańskich i niweczeniu ich samodzielnosci“. Jest tu więc porównanie między wpływem cesarstwa niemieckiego a cesarstwa bizantyńskiego, a dla uniknięcia wszelkiej dwuznaczności, dodaję wyraźnie tamże na str. 47: „Kościół wschodni zbyt już był podupadł i z rozwijającym się zdrowo zachodnim niemógł się mierzyć“. I w tem to leżeć ma moja „niepojęta za Kościołem wschodnim tęsknota!“

Na str. 100 kreślę olbrzymie przeszkody z jakimi się Kościół rzymski w Polsce pierwotnej spotykał, nim mógł zatrzeć ostatnie ślady pogaństwa i wlać w naród „prawdziwie chrześcijańskiego religijnego ducha“. Do przeszkód w posłanni-

ctwie tem zaliczam, najpierw obeokrajowość księży, a następnie łacińską liturgię. Jest to znowu fakt. Można wybornie rozumieć wyższe znaczenie liturgii łacińskiej jako liturgii powszechnej, ale nikt przecież nieośmielił się twierdzić, że ona nawrócenie pogańskiego narodu lub rozwój literatury ludowej ułatwia. Według szan. recenzenta mają to jednak być „głębokie żale do rzymskiego Kościoła“ i to ze strony autora, który na każdej stronie siłę cywilizacyjną tegoż Kościoła podnosi.

W innych miejscach wspominam, że w XIII wieku duchowieństwo wskutek przeprowadzonych w niem reform „oddało się wyłącznie celom Kościoła“, zaś „Kościół katolicki, który dotąd w Polsce instytucję polityczną stanowił i od króla bezwzględnie należał, teraz wznosił się ponad książąt i zamiast od nich odbierać prawa, swoje im prawo kanoniczne narzucił“. Jest tu znowu zapisany fakt, a jeżeli szan. recenzent pragnął wiedzieć, jak ten fakt oceniam, to mógł znaleźć wyjaśnienie choćby tylko w § 55, w słowach wykazujących następstwa samorządu Kościoła: „Czy to majątkiem, czy to inteligencją, czy wreszcie wyśmienitą organizacją, któż mógł ówczesnej kościelnej dorównać hierarchii. Całe urządzenie Kościoła skupiało się w tem, ażeby doń najlepsze, najzdrowsze, najzdolniejsze z pośród ogółu narodu jednostki przygarnąć, wykształcić i t. d.“ Teraz już zupełnie nierozumiem słów recenzenta skierowanych do tych ustępów: „Prawdziwie wierzyć się niechce, że takie rzeczy są po polsku pisane,

kiedy się je tyle razy czytało w rosyjskich ukazach“. Niepojmuję, jak szan. recenzent mógł do tego stopnia mię niezrozumieć i ustępy książki mojej, w których rozwój i świetność Kościoła z serdecznem ciepłem kreślę, z rosyjskimi ukazami pomieszzać!

II.

Najcięższy z kolei zarzut spotyka mię za ustęp traktujący o unii kościoła wschodniego, miałem się wprost stać „echem schyzmatyckich potwarzy.“

Upredziwszy czytelnika, że książka moja wyszła pod cenzurą w Warszawie, i że mówiąc o schyzmie, musiałem z każdym wyrażeniem się liczyć i wielu rzeczy kazać się tylko domyślać, odpowiem szan. recenzentowi dosłownem przytoczeniem ustępu mego o unii:

„Kościół wschodni w Polsce uznając zwierzchnictwo papieża w sprawach wiary i moralności, zatrzymywał swój własny obrządek i swoją organizację. Dla kościoła unia tego rodzaju była zwycięstwem, dla państwa dobrami swemi następstwami (nad temi się wyraźnie i szeroko nie mogłem rozwodzić) nie zdołała przeciwważyć szkodliwych. Na lud ruski nie mogła ona wpłynąć, bo rzeczą, która go oddzielała od Polaków nie była drobna różnica wiary (*fi'ioque*), lecz odrębność obrządku i kościelnej hierarchii, którą unia brzeska zatrzymywała.“ (Widzę więc słabą stronę

unii w tem, że ona nie szła dość daleko, że nie zbliżała obrządku i hierarchii wschodniej do obrządku i hierarchii rzymskiej. Czy to jest „schyzmatyczne echo?”)

„Na biskupów ruskich nie wpłynęła ona również, bo dumni biskupi polscy nie dopuścili biskupów unitów do senatu, do politycznego wpływu, do zsolidaryzowania się z polskimi interesami. Więcej niewątpliwie byłiby znaczyli biskupi ruscy nieunitcy, zasiadający w polskim senacie, niż biskupi unitcy odsunięci od senatu i poniżeni.“ (Temu szan. recenzent i żaden Polak jeszcze nie zaprzeczył.)

„Nie wszyscy zresztą Rusini przystąpili do unii, znaczna ich część pozostała przy dawnym kościele, przedewszystkiem Kozacy, a ci Rusini ujrzeli teraz swój punkt ciężkości w Moskwie, do której popychały ich nadto coraz to częstsze ze strony unitów uciski.“ (Szan. recenzent czyni tu najpierw dwa faktyczne zarzuty: 1) że już przedtem Rusini schyzmatycy oglądali się na Moskwę, prawda, ale czy w tym stopniu co po unii? 2) że schyzmatycy nie doznawali od unitów żadnego ucisku, bo „uznanym przez Sejm, protegowanym przez Władysława IV, bronionym od Kozaków władkom schyzmatycznym któż w Polsce był tak silny, aby krzywdę bezkarnie wyrządzał?“ Czyżby szan. recenzentowi było tajemem, że w Polsce w XVII i XVIII wieku król i Sejm przed swawolą szlachecką nie zdołali nikogo zasłonić? Czyż zresztą zawsze na tronie siedział Władysław IV, czy

Sejmy zawsze trzymały się zasad tolerancji, czy dyżonicy nie stracili praw politycznych, a ustawy z r. 1717, 1733, czyż to wszystko nie są objawy rosnącego ucisku, czyż w cytowanej przez recenzenta książce Guépina nie ma ciągle o ucisku mowy, chociaż autor ten ucisk zmniejszy i usprawiedliwić się stara? Są to fakta, których historykowi niewolno przemilczeć. Ale nie o fakta spór. Ucisk religijny w wieku XVI i XVII jest to rzecz tak zwykła nie tylko w jednej Polsce, że historyk z niego żadnemu wyznaniu nie może czynić zarzutu. Wytłumaczywszy to niejednokrotnie w mojej książce, pytałem się tylko, czy nietolerancja w pewnej chwili miała pewien cel polityczny na obu i czy przynosiła polityczną korzyść. Otóż nietolerancja dyżonitów nieujęta w żaden plan, nieprzeprowadzona systematycznie, nie miała istotnego celu, drażniła jedynie i jątrzyła i ten jej szkodliwy wpływ uwydatniam. W całym powyższym ustępie, boleję tylko nad tem, że unia przeprowadzona była niezręcznie, że nie była zupełną, że istotnego swego celu dla tego nie dopięła, czyż to jest „schyzmatyczne echo“?)

„Zrażając jednak tę dotychczas patryotyczną część narodu ruskiego ku sobie, poświęcała Polska przez nią jeszcze coś więcej Rusinom. Mówiliśmy już nieraz o nieustannej kolonizacji polskiej na południowej Rusi. Nie popełnimy przesady, jeśli powiemy, że w połowie ludności w tych dzielnicach osiadłej polska krew płynęła. W końcu XVI wieku kolonizacja polska nowe, ogromne

przybrała rozmiary, a tak dalece na żyzną Ukrainę garnęła się szlachta i chłopi, że wiele okolic w dawnej Polsce, mianowicie na Mazowszu, wyludniło się i stanęło odłogiem. A jednak cała ta ludność polska na Rusi traciła prędko poczucie swej narodowości. Przyczyniało się do tego niezmiernie, że panowie polscy, właściciele niezmiernych na Rusi obszarów, nie przenieśli się tam i nie założyli dworów, około których żywił polski mógł się skupiać, ukrzepiać i wzmacniać. Gospodarstwo prowadzone przez rządów, dbając o jak największe materialne dochody, nie troszczyło się bynajmniej o potrzeby duchowe polskiej ludności wieśniaczej na Rusi przebywającej. Nie zakładano dla niej katolickich kościołów, a temsamem prędeż czy później przerzucano ją na łono wschodniego kościoła, który obrządkiem swoim ją ruszczył. Błędowi temu unia wcale nie zapobiegła owszem go jeszcze zwiększyła, bo skoro teraz kościół ruski i łaciński był jeden, a podrzędna tylko pomiędzy niemi zachodziła różnica w obrządku, to już żadna nie zachodziła potrzeba budowania dla ludności polskiej na Rusi łacińskich kościołów". (Kto ten ustęp w całości rozważy ten ostatnie słowa „żadna nie zachodziła potrzeba“ uzna i pojmie jako rozumowanie wyjęte z ust tych, którzy „nie troszczyli się o potrzeby duchowe polskiej ludności“, t. j. panów i szlachty polskiej, mającej dobra na Rusi. A jednak szan. recenzent słowa te uważa jako wyraz mojego własnego przekonania, przypisuje mi je, chociaż o dwa wiersze

wyżej nad niezakładaniem kościołów katolickich na Rusi ubolewam wyraźnie. Zresztą z całym tym argumentem szan. recenzent zupełnie się zgadza i innymi słowami go powtarza i rozwija.)

Można przecież widzieć ujemne strony w sposobie przeprowadzenia Unii, możnaby nawet—czego ja nie czynię—całą Unię w ogóle uważać za błąd polityczny i bronić zdania, iż kościół łaciński bez Unii daleko skuteczniej w ziemiach polskich byłby się uporał ze schyzmą, ale historyk który w ogóle niezmierną siłę kościoła łacińskiego w rozszerzeniu żywiołu i wpływu polskiego uznaje, który nad najlepszym sposobem użycia tej siły nienastannie się zastanawia, pytam się, czy historyk, czy Polak broniący takiego zdania jest „schizmatykiem echem“?!

III.

„Reformacya w Polsce“, przedmiot to najmniej dotychczas zbadany, najtrudniejszy ze wszystkich. Istotna różnica zdania mojego w tej mierze od zdania szanownego recenzenta da się streścić w kilku słowach. Obaj zgadzamy się na znaną i uznaną powszechnie rzecz, że reformacya przynosiła ze sobą wpływ popierający ugruntowanie absolutnej monarszej władzy, obaj zgadzamy się również na to, że społeczeństwo polskie z natury swojej nie mogło się tak dalece przejąć reformacyą, jak inne zachodnio-europejskie narody. Kiedy jednak X. Kalicka wyciąga ztąd wniosek, że reformacya byłaby wywarła na społeczeństwie polskiem wręcz odwrotny skutek, t. j. doprowadziła je do zupełnej anarchii, ja próbowałem wykazać, że reforma w kilku kierunkach okazała się u nas chwilowo faktycznie czynnikiem dodatnim i za narzędzie do zbudowania silnej władzy rządowej za panowania Zygmunta Augusta dała się użyć. Jest to rzecz sporu naukowego, ktorego nie rozstrzygną może jeszcze i nasi następcy.

Na zarzuty naukowe, w tym podniesione kierunku, chociażby one najbardziej zdanie me obalać się zdawały, nie byłbym na tem miejscu odpo-

wiadał wcale, ale odeprzeć muszę bolesne przypuszczenia, które mi szan. recenzent przy tej sposobności czyni. Rozprawia historyk nad politycznym wpływem reformacyi, w chwili kiedy ona ogarnęła umysły całego kraju, kiedy ku niej nakłaniają się mniej lub więcej stanowczo, nie jakaś banda hultajów i zbiegłych księży, ale osobistości jak Radziwiłłowie Czarny i Rudy, Jan Tarnowski, Mikołaj Rej, Mikołaj Siennicki, Jakub Przyłuski, Frycz Modrzewski i tylu innych, kiedy Hozyusz, Kromer, Karnkowski, Commendoni nie występują wcale; ale tenże sam autor z chwilą, kiedy tylko zjawia się u nas reakcyja katolicka, broni w sposób najbardziej stanowczy jej dodatniego politycznego wpływu, stoi po stronie polityki Batorego na katolicyzmie opartej, podnosi nawet kierunek polityczny Jezuitów w pierwszych latach panowania Zygmunta III, a w dalszych dziejach o reformie politycznej, któraby się na potężnej sile katolicyzmu nie oparła, nie myśli, nie marzy. I takiego autora, przemilczając o tem, co na jego korzyść przemawia, przedstawia szan. recenzent jako wroga katolicyzmu, nie waha się nawet postawić go po stronie cara Mikołaja w chwili, gdy tenże nad narodem i kościółem polskim okrutnie się pastwi!

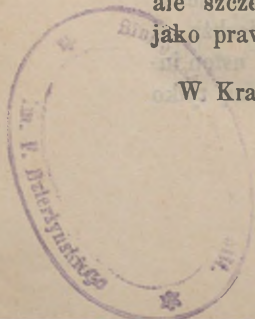
Wyjaśniewszy w ten sposób ustępy, które szan. recenzentowi dały powód do mylnego rozumienia mej myśli—o co mi głównie chodziło—niechże mi będzie wolno przytoczyć na zakończenie ustępnego rodzaju: „Dzieło Bobrzyńskiego jedną tylko

religię wyznaje, religię państwa, jednej zasady trzyma się w polityce, siły i zwycięstwa, i pomimo nienawiści do Prus jeden głosi kult—kult bismarkowski.“ Odrzucając z tego ustępu szczególne obrazy, które istotne jego znaczenie zasłaniają, przełożyłem go sobie w sposób następujący: „Praca moja jednej się trzyma zasady, że naród bez zdrowego i odpowiedniego danym warunkom ustroju państwa i społeczeństwa nie może się ostać; praca ta działania historyczne sądzi nie podług zamiarów, które za podstawę im służą, ale podług ich objawów i osiągniętych skutków; praca ta opierając się na przekonaniu, żeśmy dla wewnętrznego rozstroju obcej przemocy ulegli, widząc z doświadczenia ostatnich stu lat, że przemocy tej samym entuzjazmem, samą wiarą i samem choćby najszlachetniejszym uczuciem nie możemy pokonać, śledzi w przeszłości naszej za wszelkimi objawami rzeczywistej siły i przejęta jest na wskroś przekonaniem, że naród nasz obok uczucia może także przez wytrwałą pracę i na siłę moralną i fizyczną się zdobyć, zapożyczy je choćby nawet od wrogów, ażeby ich w ten sposób pokonać“.

Jeżeli w ten sposób mogę sobie charaterystykę stanowiska mego, podaną przez szan. recenzenta wytłomaczyć, to powiem, że jest zupełnie prawdziwą i że odpowiada najgłębszemu, może mylnemu, ale szczeremu przekonaniu memu jako Polaka i jako prawnika z zawodu.

Michał Bobrzyński.

W Krakowie d. 20 kwietnia 1879 r.





12 117/1